Cena 5 zł
(w tym 5% vat)
indeks 351245

Mp

Miesięcznik Prowincjonalny
pismo o kulturze

Nr 2 (149)
Radom
marzec–
–kwiecień
2015

Na okładce:
Krzyż w sąsiedztwie nowej siedziby sądu w Radomiu
fot. Stanisław Zbigniew Kamieński
8.03.2014 r.

Radomskie pismo o kulturze
Nr 2 (149)
Radom, marzec–kwiecień 2015
cena 5 zł ISSN 1506–5391

Temat numeru:
Powroty Persefony

Redaguje zespół w składzie:

Anna Skubisz-Szymanowska
– redaktor naczelna

Agata Morgan
– sekretarz redakcji

Halina Bogusz
– korekta

Mariusz A. Dański
– skład i przygotowanie do druku

S. Zbigniew Kamieński

Jerzy Kutkowski

Krzysztof Majerczyk

Ilona Michalska-Masiarz

Michał Płoski

Grzegorz Sasin

Anna Spólna

Mieczysław Szewczuk

Robert Utkowski

Wydawca:
Miejska Biblioteka Publiczna
w Radomiu
Adres redakcji:
ul. J. Piłsudskiego 12
26-600 Radom
tel.: 48 362 67 35
fax: 48 363 38 18
e-mail: miesiecznik.radom@op.pl
http://facebook.com/miesiecznikprowincjonalny

Materiałów niezamówionych redakcja
nie zwraca i zastrzega sobie prawo
ich skracania i redagowania.
Jednocześnie zapewniamy
integralność treści i formy
utworów literackich.

Prenumeratę
można zamówić
listownie lub osobiście
(Miejska Biblioteka Publiczna
ul. Piłsudskiego 12, 26-600 Radom),
jak również telefonicznie
(48 362 87 88)
i e-mailem
(prom.mbpradom@op.pl)

Zespół „Miesięcznika Prowincjonalnego"
dziękuje **Panu Czesławowi Krukowi**
za współfinansowanie wydawnictwa w 2015 roku

Wydawnictwo sfinansowano ze środków Gminy Miasta Radomia

OD REDAKTORA

Śnieżny wir uderza po oczach i wdziera się pod płaszcz. W kilka minut świat robi się prawie biały. W kilka kolejnych minut oślepiające słońce odziera go z bieli i daje wrażenie pogody i spokoju.

I tak w kółko przez wiele dni. Typowa aura przedwiośnia. W marcu jak w garncu, kwiecień plecień i tak dalej... Typowa coroczna sytuacja powrotu.

Hades walczy z Demeter. Mężczyzna z kobietą, mąż, kochanek z matką. Siłują się z pozoru na śmierć i życie, chociaż Zeus Gromowładny i tak już dawno rozstrzygnął i swoim boskim wyrokiem pogodził zrozpaczoną, doprowadzoną do szału matkę i zdesperowanego, podstępnego kochanka.

Persefona nie ma tu nic do gadania. Nic od niej nie zależy. Zwyczajnie nadszedł czas powrotu na ziemię i nadejdzie czas powrotu do podziemia – nie do niej należy podejmowanie decyzji, okazywanie woli i pragnień. Wiosna musi nadejść.

W bliższej nam kulturze biblijnej kobieta opuszcza dom rodziców i podąża za swoim mężem. Wypełnia rolę, o której zadecydowano w Piśmie. Jest wolna od wszelkich wyborów, ma tylko wypełnić, co napisano. Znowu nikt jej o nic nie pyta. Nawet nikt o nią nie walczy. Nie ma już Demeter i Hadesa. Zawirowania pogodowe to sprawa meteorologicznego wiosennego przesilenia.

Dzisiaj kobieta wybiera. A jeśli nawet nie wybiera, to przynajmniej decyduje o tym, czy chce być wybrana. Mniejsza o to – co potem – ciemność podziemi czy wiosenne słońce. Ale wolna wola jest faktem.

A tak naprawdę, po doświadczeniach mitologii, po poznaniu prawdy Księgi, po eksperymentach z wolą (bardziej lub mniej wolną) – Persefona nadal pozostaje Persefoną. Tyle tylko, że dzisiaj igra z nią los.

Anna Skubisz-Szymanowska

SPIS TREŚCI

1 | *Od redaktora*
Anna Skubisz-Szymanowska

SZKIC 3 | *Przestrzeń, krzyże i gwiazda Dawida*
Stanisław Zbigniew Kamieński

ESEJ 7 | *Drabina (część XIV)*
Michał Płoski

RECENZJA 10 | *Myślenie z wnętrza horroru*
Łukasz Prus

15 | *Płaczące geny*
Anna Spólna

PROZA 17 | *Niedojrzałe jabłka*
Andrzej Brzegowy

WYWIAD 24 | *Pisanie jest niesłychanie zachłanne*
Ilona Michalska-Masiarz

PLASTYKA 28 | *O wystawie Michała Kurkowskiego i radomskich grafikach*
Mieczysław Szewczuk

GALERIA PROWINCJONALNA 30 | *Michał Wójcicki*

FOTOREPORTAŻ 39 | *Wielki Wybuch Sztuki*
Mariusz Dański

KOMENTARZ 42 | *Utwórzmy fundusz dla młodych artystów*
Ireneusz Domański

FELIETON 43 | *Powrót (Persefony?)*
Robert Utkowski

KINO 45 | *Persefona*
Grzegorz Sasin

TEATR 48 | *Miłość krucha jak szkło...*
Krystyna Kasińska

51 | *Namiętność myślenia w teatrze...*
Martyna Bielińska

MUZYKA 54 | *Przegląd muzyki austriackiej w ramach Festiwalu Kontrolowanego*
Krzysztof Majerczyk

Z KART HISTORII 56 | *Sto lat młodej parze...*
Marta Trojanowska

58 | *Maria Kelles-Krauze na kartce z Radomia, czyli wartość dodana*
Wojciech Szafrański

KRONIKA 62 | *luty–marzec 2015*

w Galerii Prowincjonalnej
PRACE MICHAŁA WÓJCICKIEGO

Przestrzeń, krzyże i gwiazda Dawida

Stanisław Zbigniew Kamieński

fot. Stanisław Zbigniew Kamieński

W ostatnich moich tekstach, opisujących – najogólniej mówiąc – radomskie pomniki, coraz mniej miejsca przeznaczam, nie z wyboru a z konieczności raczej, na refleksje dotyczące sztuki i problemów, które sztuka stawia przed swoimi twórcami i odbiorcami. Miejsce to zajmuje, jako że powstająca pustka domaga się zaraz wypełnienia, inwentaryzacja obiektów, które co prawda pełnią rolę pomników, ale nie aspirują już do roli dzieł o charakterze artystycznym. Cóż to znaczy? Znaczy tyle, że obiekty te nie otrzymały adekwatnej formy dla wyrażenia zadanych im treści czy idei. Poprzestano na wykonaniu napisów informujących o wydarzeniach czy osobach ważnych z takich czy innych względów w historii naszego miasta. Obiekty te zostały wykonane według prostych schematów (myślowych i materiałowych), a projektowali je częściej tzw. działacze społeczni niż artyści. Tym sposobem nie zyskały ambitniejszego rozwiązania formalnego, pobudzającego wyobraźnię i prowokującego do samodzielnego myślenia, ich jednoznaczne przesłanie nie budzi za to żadnych wątpliwości. Trudno, o nich również trzeba wspomnieć i pamiętać, nawet jeśli ich forma rozczarowuje, zamiast dostarczać różnorakich satysfakcji – dla umysłu i ducha.

Jest jednak wspólny mianownik dla odbioru rzeźbiarskich dzieł sztuki i obiektów, które nie stają się nimi, choć pełnią podobną funkcję; mam na myśli organizację przestrzeni wokół pomników. Pomnik i jego otoczenie oddziałują na siebie wzajemnie, przestrzeń jest często równie ważna jak sam obiekt, staje się jego częścią i albo wspomaga, albo utrudnia odbiór rzeźby, pomnika czy instalacji w przestrzeni publicznej. Słyszałem niejednokrotnie narzekania autorów, że ich koncepcja usytuowania rzeźby w przestrzeni nie została wzięta pod uwagę i tym samym postrzeganie dzieła jest niezgodne z ich założeniami i oczekiwaniami.

Oglądałem kiedyś gliniany model pomnika kardynała Stefana Wyszyńskiego, monumentalnej rzeźby w skali jeden do jednego, wypeł-

niającej pracownię Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku, gdzie autor Jan Kucz konstruował ją i lepił; w tamtym wnętrzu zrobiła wówczas na mnie duże wrażenie. Potem widziałem ją, już odlaną w brązie, na miejscu przeznaczenia, pod murami Jasnej Góry w Częstochowie, otoczoną grubym, zawieszonym między kamiennymi słupkami łańcuchem. To ogrodzenie (które nie było oczywiście autorskim pomysłem), wydzielające bryłę klęczącej postaci z rozległej, panoramicznej przestrzeni na łagodnym stoku wzniesienia, pozbawiło rzeźbę siły oddziaływania, zniszczyło relację z otoczeniem.

Pozbawienie autora możliwości decydowania o usytuowaniu pomnika czy o rozwiązaniu jego otoczenia to, jak słyszałem, bolączka wielu tego typu inicjatyw społecznych. Jednak medal ma zawsze dwie strony. Także nie wszystkim twórcom pomników starcza wyobraźni, aby znaleźć właściwą skalę dla projektowanego obiektu i wskazać jego odpowiednie usytuowanie (wysokość i wielkość podstawy, zorientowanie wobec stron świata). W takich sytuacjach, jak można domyślać się, być może niesprawiedliwie, odpowiedzialnością za własną porażkę gotowi są obarczać komitet organizacyjny czy gospodarzy miejsca. Bywają oczywiście przestrzenie łatwiejsze do objęcia myślą i wyobraźnią projektanta i takie, w których nawet doświadczony w ustawianiu pomników artysta może czuć się niepewnie i nie zawsze podjąć trafną decyzję. Sądzę, że błonia wokół warowni jasnogórskiego klasztoru należą do bardzo trudnych w tym względzie przestrzeni i dokonanie dobrego wyboru miejsca dla pomnika stanowi poważne wyzwanie. Ciężar odpowiedzialności bywa zapewne przytłaczający.

Po tym długim wstępie – jeśli uznać tę część za wstęp – poszukującym wspólnej płaszczyzny dla odbioru dzieł sztuki i pamiątkowych obiektów, sprawujących w pierwszym i drugim przypadku funkcję pomników, przechodzę do części zapowiedzianej w tytule – „Krzyże i gwiazda Dawida". Poprzedni tekst poświęciłem kamieniom z napisami, jako że żyjemy w krainie głazów narzutowych i krzyży, tym razem więc zwracam uwagę na krzyże, jednak nie te pełniące podobną rolę jak kapliczki – znaki pobożności, lecz takie, które upamiętniają konkretne wydarzenia historyczne. Krzyż jest symbolem męczeńskiej śmierci, chrześcijaństwo podniosło ów symbol, poprzez śmierć Chrystusa na krzyżu, do znaku heroicznego zmagania z nieubłaganym porządkiem świata i przezwyciężania tego strasznego porządku. Krzyży stawianych z takim właśnie przesłaniem, przypominających patriotyczne zmagania i narodowowyzwoleńcze porywy Polaków, jest dużo nie tylko w Radomiu, historia ostatnich dwustu kilkudziesięciu lat dostarczała stale dramatycznych powodów do takich upamiętnień. Tutaj wspomnę jedynie o trzech krzyżach, które przywodzą na myśl powstanie styczniowe, manifestację przeciw carskiej niewoli z 1905 r. i okupację niemiecką.

Pierwszy z wymienionych krzyży stoi na wzniesieniu przy ulicy Warszawskiej i upamiętnia rozstrzelanych tutaj powstańców w 1863 i 64 r., wówczas było to miejsce poza granicami miasta. Żelazny, smukły, ażurowy krzyż stoi na betonowym (dziś mocno już nadwerężonym, popękanym), czterostopniowym podeście, w jego ramiona wpisano dwie daty: z jednej strony rok wybuchu powstania, z drugiej rok postawienia krzyża w 70 lat od tamtych wydarzeń, w 1933 r., kiedy żyli jeszcze ostatni uczestnicy walk powstańczych z carskim zaborcą. Komu zawdzięczamy korzystne usytuowanie krzyża? Może carskiemu oficerowi, dowódcy plutonu egzekucyjnego, świadomemu czy instynktownie wyczuwającemu, że dobrze wybrana przestrzeń odgrywa istotną rolę w organizacji wszelkich widowisk. Czy chodziło rzeczywiście o to, aby pamięć o rozstrzelanych zaprzątała na długo uwagę świadków, być może zmuszanych nawet do uczestnictwa w krwawych, spektakularnych widowiskach? Ku przestrodze, dla zastraszenia? A może egzekucje odbywały się bez udziału widzów, może oficer sobie wyłącznie sprawiał satysfakcję oglądania dramatycznego spektaklu w dobrze zaaranżowanej przestrzeni?

fot. Stanisław Zbigniew Kamieński

Krzyż stojący na wzniesieniu przy ul. Warszawskiej, upamiętniający powstańców rozstrzelanych tu w latach 1863 i 1864

Drugi krzyż, o którym tu wspominam, stoi w centralnym punkcie miasta, należy do najbardziej znanych i najstarszych w Radomiu, ma już 110 lat. Za czasów PRL-u w 1963 r. został przesunięty w kąt, pod mur dawnej rogatki lubelskiej, potem miejskiej łaźni, która i dziś nosi nazwę „Łaźnia", choć pełni inną funkcję, jest siedzibą Radomskiego Klubu Środowisk Twórczych i Galerii. Krzyż wrócił w pobliże swojego pierwotnego usytuowania z inicjatywy Społecznego Komitetu Ratowania Zabytków Radomia w 2004 r., a uroczystość poświęcenia go w nowym–starym miejscu odbyła się 2 lutego 2005 r., w przeddzień setnej rocznicy masakry tłumu protestującego przeciw rosyjskiemu zaborcy. Od kul carskich żołnierzy zginęło wówczas dwadzieścia kilka osób, trzy razy tyle demonstrantów zostało rannych. Imion i nazwisk wszystkich rannych i zabitych oraz dokładnej ich liczby nigdy, pomimo wielokrotnych starań, nie udało się ustalić.

Nasz redakcyjny kolega Mieczysław Szewczuk wie, że zginął wtedy brat jego babci, jego imiennik Mieczysław Chruściński; miał 18 lat i prawdopodobnie był jeszcze uczniem, nie wiadomo – gimnazjalnym czy przyuczał się do zawodu, być może zawodu piekarza. Taka niepewna informacja funkcjonuje w tradycji rodzinnej – mówi mi Mieczysław. Żeliwny krzyż, świadek tamtych krwawych wydarzeń, zaprojektowany przez Chromeckiego (brak imienia), reprezentuje cechy stylu neogotyckiego i wykonany został w odlewni J. Osińskiego w Bliżynie. Dziś jest pomalowany na szaroniebieski kolor. Po dziesięciu latach od jego rekonstrukcji i konserwacji zasadzone wokół świerki wy-

rosły na duże drzewa i przytłaczają go swoim zielonym gąszczem. Aleksander Sawicki, przewodniczący SKRZR, od dawna nosi się z zamiarem umieszczenia obok krzyża tablicy informującej o manifestacjach z lat 1904–1905, nikt nie podejmuje się jednak sformułowania treści napisu, zapewne w związku z niejasnościami, o których wspomniałem. Dziwi mnie trochę owa niemożność znalezienia właściwych słów, aby powiedzieć o tym wszystkim mieszkańcom Radomia.

Trzeci krzyż, właściwie cały pomnik o prostym, ciekawym rozwiązaniu plastycznym, którego krzyż jest centralnym elementem, stoi na terenie byłych Zakładów Metalowych. Dziś jest to miejsce dostępne wszystkim (wiele osób pewnie nie wie jeszcze, że można tam wchodzić), podobnie jak przed wojną i w czasach okupacji niemieckiej, kiedy prowadziła tamtędy, równolegle do trzypiętrowego, długiego budynku fabrycznego, ulica Ciepła. Niemcy zbudowali tam szubienicę i 14 października 1942 r. dokonali egzekucji 15 pracowników Fabryki Broni i innych zakładów w Radomiu, związanych z ruchem oporu. (Egzekucje odbywały się w tym czasie również na ulicach Warszawskiej, Kieleckiej i w miejscowości Rożki.)

Wypytuję Jana Rejczaka o szczegóły dotyczące pomnika, inicjatorem jego postawienia była „Solidarność" Zakładów Metalowych. W momencie odsłonięcia, 6 czerwca 1981 r., Rejczak był wiceprzewodniczącym Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność" Ziemia Radomska. Teraz opowiada mi, że pomnik powstał w dużej mierze dzięki entuzjazmowi i zaangażowaniu pracowników Zakładów Metalowych. Jedni, zatrudnieni w narzędziowni i na wydziale remontowym, przygotowali teren, na którym do tej pory była fontanna i skwer (na stronie radom.city /radom na fotografii/ przeczytałem, że był tam basen przeciwpożarowy, tam również zamieszczona jest błędna informacja o czasie odsłonięcia pomnika); inni, pracownicy działu głównego konstruktora, narzędziowni i wydziału blacharskiego, zrealizowali projekt, którego autorem był architekt zatrudniony w sąsiednim zakładzie, Fabryce Wyrobów Emaliowanych, tzw. Blaszance. Niestety, nikt nie przypomina sobie jego nazwiska, szkoda, bo to udany projekt. Wszyscy pracowali społecznie. Na niezbędne wydatki rozprowadzano wśród pracowników okolicznościowe cegiełki. Krzyż, stanowiący oś kompozycji, rysuje się wyraźnie na płaszczyźnie dwóch symetrycznie ustawionych, pionowych, zgeometryzowanych form, za nimi zdążyły wyrosnąć potężne tuje; ich ciemna zieleń, brązowe linie krzyża na tle bieli, harmonizują z różową, poszarzałą ścianą hali fabrycznej, na której szczycie można przeczytać łaciński zapis roku jej budowy MCMXXV.

Jan Rejczak uczestniczył w odsłonięciu i poświęceniu pomnika, pokazuje mi zaproszenie na tę uroczystość. Brama Zakładów Metalowych została na tamten moment otwarta, ale wpuszczono tylko gości z potwierdzonymi zaproszeniami, przyjechał m.in. Henryk Lenarciak, przewodniczący Społecznego Komitetu Budowy Pomnika Poległych Stoczniowców w Gdańsku, słynnych Trzech Krzyży. (W ich powstaniu ma również udział radomianin, także pracownik Stoczni Gdańskiej Tadeusz Jemioł.) Mszę, odprawioną wówczas w tamtym miejscu, sprawowali księża Stanisław Sikorski i Jerzy Banaśkiewicz; podobno znak Polski Walczącej – kotwica umieszczona po lewej stronie krzyża – jest pomysłem właśnie księdza Banaśkiewicza. Pomnik odsłaniała córka jednego z zamordowanych. Janek zapamiętał w szarym tłumie uczestników tamtego wydarzenia kapelusz z szerokim rondem żony Bronisława Kawęckiego, znanego działacza radomskiej „Solidarności". Byliśmy młodzi – mówi Janek i uśmiecha się do tamtych wspomnień.

Tu kończy się moja pobieżna opowieść o krzyżach upamiętniających ponure historyczne wydarzenia. Napisałem, że żyjemy w krainie głazów narzutowych i krzyży, ale chciałbym wspomnieć jeszcze o innym obecnym tutaj znaku – gwieździe Dawida, która po Holokauście przypomina nam nieodparcie o zagładzie narodu żydowskiego. Na radomskim kirkucie, symbolicznym dziś raczej niż realnym cmentarzu (zniszczonym przez Niemców w czasie wojny – kamienne nagrobki służyły jako materiał budowlany; w końcu lat 80. ub. wieku rozpoczęły się prace renowacyjne, a w 2010 r. odsłonięto pomnik – lapidarium ze znalezionymi na terenie miasta macewami) znajduje się kamień z gwiazdą Dawida, zamykający główną aleję. Poświęcony jest Żydom, którzy „POLEGLI NA POLU CHWAŁY W WALCE O NIEPODLEGŁOŚĆ POLSKI". Ze szczegółowej informacji poniżej możemy dowiedzieć się, że na cmentarzu żydowskim w Radomiu pochowani są powstańcy z 1863 r., bojownicy z lat 1905–1914 i walczący z bolszewikami w 1919 r. Tablica wymienia ich imiona i nazwiska.

Porównuję podane tutaj nazwiska trzech powstańców i 29 z tablicy pod krzyżem na Warszawskiej, ale nie powtarzają się. Wynika to prawdopodobnie stąd, że informacje o zabitych pochodzą z różnych ksiąg metrykalnych i parafialnych. Nie sposób porównać list poległych podczas tzw. wydarzeń 1905 r., mam nadzieję, że gdy wreszcie taka lista zostanie sporządzona, znajdą się na niej obok siebie wszyscy zastrzeleni manifestanci, bez względu na swoje wyznanie i odrębność etniczną. Wszyscy czuli się Polakami. Czy to wystarczy za puentę tego tekstu?

Stanisław Zbigniew Kamieński
1–15 marca 2015 r.

Z notatnika malarza ikon
Drabina (część XIV)

Michał Płoski

„Obrzuchu, władcy kochanym przez wszystkich, a przecież niegodziwym" – taki piękny tytuł nosi XIV rozdział *Drabiny raju* św. Jana Klimaka, dzieła obfitującego w zdania krwiste, które można by cytować niczym aforyzmy, szukając w nich treści ponadczasowych, uniwersalnych. Na przykład: „Obżarstwo jest obłudą żołądka: bo to będąc nasycony wedle potrzeby, głośno się skarży, że mało, a opchany i napęczniały krzyczy, że jest głodny"[1]. Oto człowiek naszych czasów – wraz z niebywałym postępem cywilizacyjnym nabawił się cywilizacyjnej choroby – otyłości; zarówno w sensie dosłownym, jak i przenośnym. Stał się ofiarą konsumpcjonizmu. Zjeść, jak najwięcej zjeść, pożreć wszystkie możliwe smakołyki, atrakcje, rozrywki. A kiedy zdawałoby się powinien być już całkowicie zaspokojony, to woła o jeszcze i jeszcze. „Obżarstwo – pisze Klimak – jest twórcą wyszukanych potraw, źródłem przyjemności: zamknąłeś tę żyłę, a pojawia się skądinąd; a gdy i tę mocno ścisnąłeś pokonuje cię inna".

Ojciec Anselm Grün, znany benedyktyn i psycholog, zaleca współczesnym ludziom powrót do praktykowania postu, rozumianego jako swoiste rekolekcje, drogę poznania samego siebie. Pisze on: „[...] gdy poszcząc świadomie odrzucam wiele pozornych zadowoleń,

[1] Św. Jan Klimak, *Drabina raju*, tłum. W. Polanowski, Kęty 2011, wyd. M. Derewiecki, s. 193; z tego samego źródła pochodzą kolejne cytaty.

niekiedy dość mocno zaślepiających mnie czy otępiających, poznaję o sobie najgłębszą prawdę. Poszcząc odrzucam maskę leżącą na moich skotłowanych uczuciach i myślach. W ten sposób może się wyzwalać wszystko, co we mnie siedzi, moje niespełnione marzenia, tęsknoty, moje namiętności, myśli krążące wokół mnie samego, mego powodzenia, mienia, stabilizacji życiowej, uczuć, goryczy i smutków. W poście dają o sobie znać wewnętrzne rany, które człowiek ukrywał z trudem przy pomocy zewnętrznego aktywizmu albo przez częste szukanie zadowolenia w jedzeniu i piciu"[2].

W tak rozumianym poście nie chodzi więc o jakąś formę samoudręczenia, ale o podjęcie ćwiczenia, które może wzmocnić w nas nadzieję, że potrafimy podejść do naszej cielesności w sposób wolny, że nie musimy jej ulegać, ale roztropnie władać nad nią. Ojciec Grün zaleca, aby swoje ciało traktować z łagodnością i szacunkiem, podejmowane ograniczenia dostosowywać do swoich możliwości. Jeśli decydujemy się na podjęcie głodówki, powinniśmy korzystać z opieki medycznej i duchowej oraz wsparcia grupy.

W czasach św. Jana Klimaka ubodzy ludzie stale znosili niedostatek pożywienia, nierzadko wręcz głodowali. Życie monastyczne zabezpieczało przed nędzą. Mnisi, świadkowie Ewangelii, przyjmowali jednak dobrowolne ubóstwo, a ich warunki życia, także jeśli chodzi o pożywienie, nie były lepsze niż zwykłych, biednych ludzi owych czasów. Jeden skromny posiłek dziennie spożywany około godziny 15, czyli – według ówczesnej rachuby – 9. W niedzielę i święta nieco obfitsze posiłki, także z okazji przyjmowania gości. Klimak drwi sobie z mnichów, którzy oczekują świąt lub przybycia gości w nadziei na lepszy posiłek. Igumen z Synaju jest bardziej surowym przewodnikiem niż współczesny nam benedyktyn, bo i życie było bardziej surowe, a myśl o karze ognia piekielnego i płacz uważano za środki godne zalecenia. Klimak pisze: „W sercach obżartuchów: sny o wikcie i strawie, a w sercach płaczących: sny o karaniu i sądzie". Jednak obu mnichom – współczesnemu i temu z VII w. – chodzi zasadniczo o to samo, o panowanie ducha nad materią, o to, aby nasza psychika zakorzeniona w istocie naszego człowieczeństwa – w Duchu, nie została przesłonięta przez pożądliwość ciała.

W starożytnej Grecji wiele uwagi poświęcano związkom pomiędzy spożywanymi pokarmami a zdrowiem fizycznym i duchowym człowieka. Nie tylko lekarze, ale również szkoły filozoficzne wypracowywały swoje własne zalecenia dotyczące pokarmów i postów. Ta kulturowa tradycja oddziaływała również na poglądy mnichów chrześcijańskich. W omawianym rozdziale autor *Drabiny raju* polemizuje z następującym zaleceniem Ewagriusza: „Kiedy nasza dusza pragnie urozmaiconych potraw niech się wówczas ograniczy do chleba i wody". Klimak zauważa, że może to doprowadzić do uciążliwej walki albo do upadku. Pisze: „My tymczasem odmówimy sobie potraw tuczących, następnie pobudzających, potem tych przyprawionych. Jeśli możemy, podawajmy swemu żołądkowi jadło sycące, ale lekkostrawne, abyśmy dzięki nasyceniu tego chciwca [chodzi o brzuch – M.P.] mogli się rozsądnie oderwać od niego i jak od bicza wykupić się od rozpalenia przez prędkie nasycenie. Sprawdzimy, a przekonamy się, że bardzo wiele potraw powoduje nie tylko wzdęcia, lecz także podniecenie". Chodzi o podniecenie seksualne, które starano się wyeliminować przez unikanie niektórych potraw i post. „Kto jest sługą swojego żołądka – stwierdza Klimak – a chce zwyciężyć ducha rozpusty, podobny jest do gaszącego pożar za pomocą oliwy". Tej problematyce poświęcony jest cały obszerny rozdział następny, a więc powróćmy do żołądka, rezygnując na razie z dolnych partii brzucha.

[2] Anselm Grün OSB, *Post modlitwą ciała i duszy*, Tyniec 1991, wyd. Benedyktynów, s. 22.

fot. Stanisław Zbigniew Kamieński

Sięgam do innego starożytnego źródła, do *Wyznań* św. Augustyna (354–430 r.), który żył w środowisku ludzi stosunkowo zamożnych i nigdy nie doświadczył biedy i głodu. Nawracając się radykalnie w wieku dojrzałym, pragnął panować nad swoimi zmysłowymi skłonnościami, także związanymi z jedzeniem i piciem. W jego *Wyznaniach* czytamy: „Głód i pragnienie są niewątpliwie bolesne. Palą i jak gorączka zabijają, jeśli nie stosujemy lekarstwa pokarmów. A lekarstwo jest dla nas tuż – bo z dobroczynnej Twojej łaski ziemia, woda i przestworza są na nasze usługi; cierpienie więc szybko przemienia się w przyjemność"[3]. Dalej czytamy, że ta przyjemność jedzenia może stać się dominująca, usiłuje, jak pisze Augustyn, naprzód się wysforować. Jeśli motywem głównym konsumpcji staje się owa przyjemność, pokarm z pożytecznego dla ciała lekarstwa może zamienić się w szkodliwy dla zdrowia fizycznego i duchowego. Święty zaznacza, że czasem trudno tu uchwycić równowagę. Wyznaje: „Obżarstwo jednak nieraz dopada Twego sługę – o, uczyń w swej łasce, by się ode mnie oddaliło"[4].

Myślę, że to wyznanie może nas współczesnych bardziej zachęcić do pracy nad sobą niż surowe słowa św. Jana Klimaka.

W późniejszych wiekach chwytano się różnych sposobów, aby uniknąć przywiązania do doznań zmysłowych. Św. Franciszek dosypywał popiołu do potraw, zaś św. Jan od Krzyża zalecał, aby skłaniać się „nie ku temu co smaczne, lecz ku temu, co bardziej mdłe"[5].

Patrzę na reklamę: piękna dziewczyna zjada czekoladkę i na jej twarzy pojawia się wyraz mistycznego uniesienia, szczęścia. Podobno karmelitanki, które stracono w czasie rewolucji francuskiej, nim wstąpiły na szafot, zjadły po czekoladce. Ostatnia drobna przyjemność kobiet wolnych w obliczu śmierci.

Michał Płoski

[3] Św. Augustyn, *Wyznania*, tłum. Z. Kubiak, Warszawa 1978, s. 200.

[4] Jak wyżej, s. 201.

[5] Św. Jan od Krzyża, *Dzieła*, tłum. o. Bernard od Matki Bożej, Kraków 1961, wyd. oo. Karmelitów Bosych, t. 1, s. 116.

Myślenie z wnętrza horroru

Łukasz Prus

„Filozof współczesny, który nigdy nie miał poczucia, że jest szarlatanem, to umysł tak płytki, że dzieła jego nie są pewnie warte czytania".
Leszek Kołakowski, *Horror metaphysicus*

Udzielenie odpowiedzi na pytania, kim jest filozof, za czym opowiada się jednoznacznie i co odrzuca, jaka jest jego intencja filozoficzna, nastręcza w przypadku Leszka Kołakowskiego, radomianina z urodzenia, jednego z największych myślicieli drugiej połowy XX w., dużych trudności. Czytając jego ostatnio opublikowany tekst *Jezus ośmieszony. Esej apologetyczny i sceptyczny*, szkic niedokończony, pisany w latach 80. XX w., trzeba pamiętać, że jego autor w 1959 r. wybrał błazeństwo przeciwko kapłaństwu, czyli filozofię przeciwko ideologii. Tej postawie, jak sądzę, pozostał wierny. Chciał być mniej Platonem, a bardziej Sokratesem, czyli filozofem myślącym bez kodeksu i poza dogmatem, chwalebnie niekonsekwentnym.

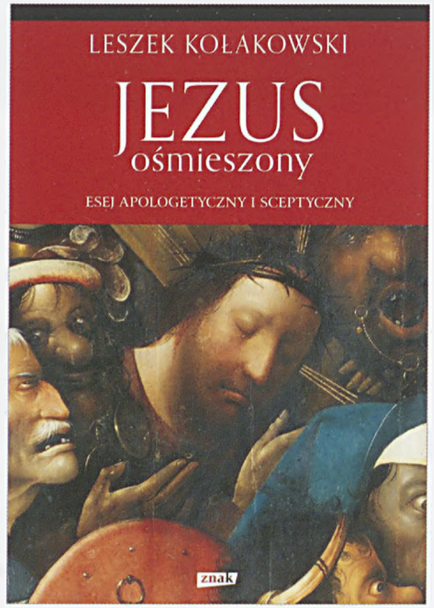

W okresie pisania *Jezusa ośmieszonego* był już Kołakowski nie tylko wytrawnym historykiem idei, autorem książki o Spinozie, w której sformułował metodologiczne *credo* tej formy refleksji („przełożyć pytania metafizyki, antropologii i teorii poznania na pytania wyrażone w języku ludzkich problemów moralnych, dążyć do zdemaskowania ich utajonych treści humanistycznych", *Jednostka i nieskończoność*), ale też – co dla odczytania tekstu wydaje się kluczowe – filozofem religii i teoretykiem kultury. W swoje książce *Obecność mitu* jednoznacznie opowiedział się za prawem obywatelstwa religii – jako religii właśnie – w kulturze, demaskując jednocześnie wewnętrzną sprzeczność „światopoglądu naukowego".

Kim jest Kołakowski jako autor *Jezusa ośmieszonego*? Sądzić można, że bardziej teoretykiem kultury pracującym na warsztacie historyka idei niż filozofem religii. Religią i teologią właściwie w tym tekście nie zajmuje się; interesują go następujące pytania: „czy nasza kultura przeżyje, jeśli zapomni Jezusa? Czy wierzymy, że jeśli Jezus zostanie wygnany z naszego świata, ten świat przepadnie? Dlaczego potrzebujemy Jezusa?". Postać Jezusa rozpatruje więc Kołakowski w szerokiej perspektywie europejskiej kultury, nie zagłębiając się w spekulację metafizyczną.

„Myślę o Jezusie jako o elemencie składowym cywilizacji europejskiej, myślę więc o Nim takim, jakim był postrzegany przez wieki, zgodnie z wyobrażeniami i stereotypami [...]. Myślę, by tak rzec, o micie, nie zakładając jednak, że mit oznacza historię nieprawdziwą, wytwór wyobraźni ...]. Myślę o Jezusie prawdziwym, a to znaczy: prawdziwie, rzeczywiście i niezbywalnie obecnym w naszej historii. Taka obecność obejmuje wszystkie Jego słowa, wszystkie cuda, modlitwy i nauki" – pisze Kołakowski. Tak rozumiany Jezus, stwierdza filozof na kartach eseju, jest dla ludzi współczesnych po prostu śmieszny. Nie mówi się, że nauka moralna głoszona przez Jezusa jest nieprawdziwa, wewnętrznie sprzeczna czy niemożliwa; konstatuje się tylko, że to śmieszne. Ale jaką śmieszność ma tutaj Kołakowski na myśli, tego w tekście eseju nie znajdujemy. Odwołując się do innych prac filozofa, a także do historyczno-filozoficznego kontekstu, w którym przyszło mu myśleć, można stwierdzić, że chodzi o elementarną sprzeczność pomiędzy faktycznym stanem współczesnej cywilizacji a głównym, apokaliptycznym przesłaniem Jezusa. Przesłanie to Kołakowski odczytuje następująco: „w obliczu nieuniknionego Końca wszystkie dobra i rzeczy ziemskie są, jeśli nie bezwartościowe, to w każdym razie drugorzędne i względne, nigdy nie powinny uchodzić za dobra same w sobie, tym bardziej za wartości absolutne. Myśleć inaczej to idolatria, to oddawanie najwyższej czci temu, co nietrwałe, bez znaczenia, pozbawione wagi [...]. Jest tylko jedna rzecz godna bezwarunkowego pragnienia: to Bóg i Jego Królestwo; jest tylko jedna rzecz, która jest złem absolutnym: utrata duszy, jej nieodwracalne zepsucie". Tymczasem w innej pracy pt. *Nasza wesoła apokalipsa. Kazanie na koniec wieku*, napisanej w 1997 r., Kołakowski ogólnikowo szkicuje diagnozę stanu europejskiej cywilizacji. Wydaje się, że to, co

fot. Stanisław Zbigniew Kamieński

Leszek Kołakowski podczas wizyty w Radomiu – 26 października 2007 r.

najbardziej niepokoi filozofa, to kolejne złudzenia leżące u jej podstaw: moralność czysto utylitarna, konsumpcjonizm, wzrastający pęd i pogoń za rozrywką oraz racjonalizm scjentystyczny i ustanowione przez niego czysto empiryczne i technologiczne kryterium prawdy. Jeżeli prawdą jest, że właśnie takie społeczności zaludniają dzisiejszą Europę, tzn. kierujące się użytecznością, goniące za dobrami materialnymi i przyjemnością, uznające za wartościowe tylko to, co doczesne, to, rzeczywiście, trudno nie zgodzić się z Kołakowskim, że w obliczu tego wszystkiego ewangeliczne przesłanie Jezusa może spotkać się tylko ze śmiechem.

W *Jezusie ośmieszonym* Kołakowski powtarza też to, co wypowiedział już wiele lat wcześniej, czyli, że „osoba i nauki Jezusa Chrystusa nie mogą zostać usunięte z naszej kultury ani unieważnione, jeśli kultura ta ma istnieć i tworzyć się nadal" (*Jezus Chrystus – prorok i reformator*). Kołakowski nie mówi jako teolog, twierdząc, że przywrócenie Jezusa kulturze nie oznacza, że wszyscy powinni wierzyć w to, że był on Synem Bożym lub Bogiem. Nie jest to nawet możliwe, ponieważ dominująca racjonalność scjentystyczna nie może przystać na uznanie faktu niepotwierdzonego empirycznie, choć, co istotne dla dyskusji pomiędzy sceptykiem a apologetą, nie może go też sfalsyfikować. Wartości, które Jezus zaszczepił kulturze, nie muszą być też opatrzone sankcją kościelną, kodeksową. Kołakowski opowiada się za opcją transcendentalną, czyli nieempiryczną, która odsłania się w toku jego hermeneutyki religijnej. Jest to perspektywa, w której ujawnia się fundamentalne pęknięcie we wnętrzu cywilizacji: na pień technologiczny oraz na pień mitologiczny. Mit w ujęciu Kołakowskiego stanowi przestrzeń swoistą, niezależną, a ponadto także niesprzeczną w stosunku do nauki, która jest tylko narzędziem technicznej eksploracji świata i niczym więcej. Nauka nie może wykryć sensu świata jako całości, sensu życia człowieka, wartości; tego można doświadczyć tylko, żyjąc w micie. Mit opowiada o rzeczywistości absolutnej, która jest źródłem sensowności wszystkich poszczególnych rzeczy; to rzeczywistość bezwzględna, z uwagi na którą wszystko, co względne, uzyskuje wartość i sens. Mit nie wchodzi w kolizję z nauką, nauka nie może unieważnić mitycznej narracji; inne są ich funkcje i kompetencje, z innych potrzeb wyrastają, warunkiem możliwości istnienia kultury jest twórcze napięcie pomiędzy nimi. Cywilizacja, z której rzeczywistość mityczna zostałaby całkowicie wyrugowana, skazana jest na samozagładę, a człowiekowi wyrwanemu z mitu pozostaje tylko jedno: zgoda na metafizyczny absurd, na życie, które jest z konieczności porażką. O tym autor *Rozmów z diabłem* przypominał wielokrotnie, wręcz uporczywie.

Czy jednak możliwe jest autentyczne przywrócenie wartości ewangelicznych bez przywrócenia religijnej wiary w boskość Jezusa? Kołakowski uważa, że tak. Sądzi ponadto, że jest to nie tyle możliwe, ile konieczne. Wątki chrześcijańskie są bowiem obecne nawet w zlaicyzowanej kulturze europejskiej, zostały, choć bez odwołania się do jej źródła, wpisane do prawa, są obecne w myśleniu świeckim, a poza tym – rzeczywistość zdemitologizowana jest niemożliwa, ponieważ, zdaniem filozofa, sama idea demitologizacji ma charakter mityczny. Przywrócenie wartości ewangelicznych jest możliwe poprzez przyznanie, że dobro i zło mają charakter obiektywny (ale nie empiryczny!), bezwzględny, a ta obiektywność odsłania się poprzez doświadczenie winy. Kołakowski zbliża się tutaj do jednego ze swoich ulubionych filozofów, czyli Karla Jaspera, dla którego wina to jedna z sytuacji granicznych, w której egzystencja za pośrednictwem nieprzekładalnego na racjonalny dyskurs szyfru doświadcza Transcendencji, otwiera się na nią i doświadczając w jej obliczu egzystencjalnej konwersji, zaczyna żyć w micie. A Jezus w ujęciu Kołakowskiego to nie tylko człowiek historyczny, nie jest to też faktycznie Bóg wcielony, ale postać, która na życie ludzkie, a poprzez nie na kulturę, oddziałuje z wnętrza mitu utrwalonego w tejże kulturze. „[...] zdolność do po-

fot. Stanisław Zbigniew Kamieński

Tablica przy ul. Niedziałkowskiego 26 na rodzinnym domu Leszka Kołakowskiego

czucia winy jest warunkiem bycia człowiekiem [...]. Jeśli nie umiemy czuć się winni, nie jesteśmy zdolni do odróżniania dobra od zła [...] mam na myśli takie odróżnienie, którego znaczenie, siła obiektywna, zniewalająca, nie zależy od nas; rozróżnienie, którego nie możemy ani unieważnić, ani zmienić według naszej woli lub kaprysu, odróżnienie, które zastajemy gotowe, które nam się narzuca i które jesteśmy zmuszeni przyjąć jako prawdziwe". Przy czym rozróżnienie to ma – i mieć musi, jak pisze filozof – charakter mityczny. Tylko tak możliwa jest Jaspersowska konwersja egzystencjalna, czyli to – w tradycji chrześcijańskiej – metanoja.

Źródłem przemiany aksjologicznej, którą Kołakowski postuluje, ma być miłość, którą Jezus przyniósł na ziemię. I chodzi tutaj o przemianę „nie przez ideę miłości, ale przez doktrynę; miłość jako fakt, jako rzeczywista energia, którą On przelał w świat i której odbiciem jest ta drobina, jaką ludzie noszą w sobie – odbiciem słabym, niedoskonałym, zmieszanym ze złem, ale zawsze żywym". Gdyby ta miłość mogła objąć cały świat, mówi Kołakowski, wszystkie problemy ludzkości zostałyby rozwiązane.

A więc: po pierwsze – mit, po drugie – obiektywne wartości, po trzecie – Jezus. Czyli kto? W *Jezusie ośmieszonym* Kołakowski udziela szczątkowej odpowiedzi na pytanie, które z pewnością niejeden czytelnik chciałby zadać. I choć filozof nie mówi wprost, że wierzy albo nie wierzy w Boga (nie może tego zrobić, inaczej nie byłby filozofem, we własnej opinii, z błazna stałby się kapłanem), to pyta samego siebie o Jezusa: „Czy był Bogiem? Nie mam pojęcia. Ale jeśli jakiś Boży człowiek żył kiedykolwiek na tej ziemi, to był nim On". Tak rozumiany Jezus, jako realność mitycznie ukonstytuowana, zaspokaja, zdaniem Kołakowskiego, te potrzeby, które odkrywa fenomenologiczna penetracja świadomości intencjonalnie zwróconej w stronę mitu: umożliwia rozumiejące ogarnięcie świata empirycznego, pozwala wierzyć w trwałość wartości, dostarcza całościowej wizji świata; bez względu na to, kim Jezus faktycznie był.

I tak Kołakowskiego myśl o Jezusie, jeżeli ma być myślą filozoficzną, czyli nie arbitralnie zniekształconą czy ideologicznie zmistyfikowaną, musi zatrzymywać się przed progiem jednoznaczności; musi być i apologetyczna, i sceptyczna zarazem. Filozof pisał więc we wstępie do zbioru własnych tekstów opatrzonych tytułem *Czy Pan Bóg może być szczęśliwy i inne pytania*: „Jak we wszystkim prawie, com pisał w ostatnich latach kilkudziesięciu, nie potrafię w sprawach najważniejszych dotrzeć do konkluzji ostatecznych i ciągle potykam się o kłopoty, które trzeba wyminąć niezręcznym i uciekinierskim powiedzeniem z jednej strony..., ale z drugiej strony... Być może jest to przypadłość czy raczej ułomność umysłu autora, być może jednak – znów sobie pochlebiam – przypadłość bytu".

Łukasz Prus

Post scriptum. Tekst opublikowany przez ZNAK w dużej mierze jest powtórzeniem tego, co Kołakowski jeszcze za życia opublikował. Znaczną część „Jezusa ośmieszonego" stanowią fragmenty artykułów: „Nasza sprawa wieczna z Chrystusem", „Iluzje demitologizacji", „Jezus Chrystus – prorok i reformator".

Leszek Kołakowski, *Jezus ośmieszony. Esej apologetyczny i sceptyczny*, przekł. Dorota Zańko, tyt. oryg. *Jésus ridicule. Un assai apologétique et sceptique*, Wydawnictwo ZNAK, Kraków 2014.

Płaczące geny

Anna Spólna

Pierwszego czerwca 1943 r. na Zamojszczyźnie przestała istnieć wieś Sochy. Spaliły ją prawie doszczętnie oddziały Wehrmachtu i Waffen-SS, zabijając może 200, może 300 mieszkańców, bez względu na wiek. Pacyfikacja: 88 domów, niemożliwa do ustalenia liczba ofiar, w tym 45 zamordowanych dzieci.

„Liczby się liczą" – pisze Anna Janko. Wie jednak, że najstraszniejszego nie da się zrachować. Rozumie, że nie można tego ani zrozumieć, ani opowiedzieć – mimo to próbuje po latach zmierzyć się z rodzinną traumą. W *Małej Zagładzie*, książce autobiograficznej, która jest trochę zapisem wewnętrznego monologu zmieszanego z dialogiem, trochę reportażem, a trochę esejem, podejmuje się przepracować doświadczenie utraty, dopóki nie jest za późno.

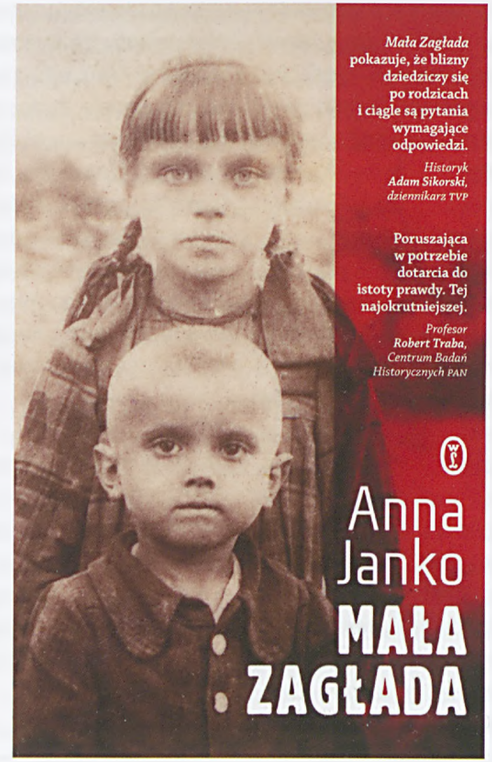

O niej

Najważniejszą bohaterką książki, jej adresatką i w pewnym sensie (poprzez przywołane rozmowy) współautorką jest matka Anny Janko, Teresa Ferenc. Poetka i malarka, piękna kobieta, żona i matka, we wspomnieniach córki pozostaje przede wszystkim dziewięcioletnią dziewczynką, która patrzy na śmierć obojga rodziców. Renia z warkoczykami, w niebieskiej sukience, ściskająca w rękach dłonie młodszego rodzeństwa z paniczną myślą „jesteśmy sierotami", była w dorosłej Teresie przez całe życie.

Z okładki *Małej Zagłady* spogląda wprost w obiektyw dwoje dzieci. Dziewczynka nosi w martwych oczach rozpacz bez granic. Żeby to zobaczyć, nie trzeba nawet wiedzieć, że zdjęcie zrobiono niedługo po masakrze. W czasie, kiedy Tereska przestała mówić i przez rok płakała codziennie, godzinami. Tom zamyka jednak fotografia dojrzałej kobiety, mrużącej wzrok z uśmiechem – upragnionej matki, której nie trzeba ratować. Ta kolejność wydaje mi się znamienna dla procesu terapeutycznego, jaki zachodzi w książce.

Niełatwo pisać o matce pogrążającej się w depresji, ulegającej napadom paniki; raz gwałtownej i niespokojnej, raz bezradnej. Trudno przyznać, że dzieciństwo u boku kogoś pozbawionego dzieciństwa bywało udręką. Janko dokonuje aktu odwagi, gdy odsłania słabość kochanej osoby – dla jej i swoje-

go dobra. Robi to w sposób możliwie dyskretny, lecz zdecydowany, bo zostało mało czasu:

„Zapomnij. Najlepiej zapomnij już. Dobrze robisz, że gubisz wspomnienia, jedno po drugim znikają imiona. [...] Jesteś coraz spokojniejsza, jesteś równa. Odchodzisz, mamo. Zostaje pogoda.

I ja zostaję. Zabrałam ci twoją historię, mamo, twoją apokalipsę" (s. 242).

O sobie

Anna Janko nie widziała tamtych śmierci, a jednak sama jest dzieckiem Zamojszczyzny. W drugim, nawet trzecim pokoleniu wraca pamięć doświadczeń, których nie mogła udźwignąć psychika kilkulatki. Autorka z czasem zrozumiała, skąd w jej życiu ciągłe przeprowadzki, choroba sieroca, paniczny lęk odczuwany w stanie wojennym, straszne sny, wrodzona awersja do języka niemieckiego. Pisząc o „płaczu genów" (s. 19), określa noszoną w sobie żałobę, przekazaną jej przez matkę. Nierozpoznane źródło niepokoju, który domagał się zagłuszenia:

„Spośród mnóstwa kolorowych wydarzeń, które działy się od rana do wieczora, wychodziło na wierzch jakieś głuche i nieme, ciemne i puste coś. Jakby się miała jeszcze jakaś ważna rzecz wydarzyć, ale nie mogła. Nie mogła się przepoczwarzyć, tylko się tak zapowiadała, tak się tliła jałowo, męcząco i nic" (s. 195).

W *Małej Zagładzie* wybrzmiewa skarga na „uszkodzone" dzieciństwo w cieniu wojny. Determinacja, z jaką Janko szuka wszelkich dostępnych wiadomości o przeszłości swojej rodziny, była zatem motywowana pragnieniem uwolnienia od dziedzicznego koszmaru. Przerodziła się jednak w coś więcej: potrzebę zrozumienia mechanizmów zła, ujawniających się w historii z przerażającą regularnością.

O nas

Książka wychodzi od osobistych i domowych wspomnień, ale narracja zatacza coraz szersze kręgi. Dom rodzinny Ferenców, cała spalona i wymordowana wieś, Zamojszczyzna jako teren ludobójstwa, Polska pod hitlerowską okupacją, pacyfikacje Lidic i Oradour, obozy zagłady, mordy dokonane przez Ukraińców na Wołyniu, eksterminacja Żydów, zniszczenie Hiroszimy – to wątki związane z II wojną światową. Jednak w *Małej Zagładzie* wojna „nie umiera nigdy. Tylko zmienia mundury" (s. 182). Piekło Bałkanów, rzeź w Rwandzie, cierpienie cywilów podczas tzw. interwencji pokojowych jest nieustannym objawianiem się zła, o którym najłatwiej byłoby nie wiedzieć. Są w książce wątki psychoanalityczne i rozważania socjologiczne, kwestie wielkiej polityki i codziennej cywilnej odwagi.

Janko nie znosi uproszczeń i uogólnień – czy pisze o antysemityzmie, czy o psychopatycznych mordercach, zawsze pyta o jednostkę, nie o nację. Podaje przykłady wyjątkowego bohaterstwa, aktów miłosierdzia, odruchów przyzwoitości. One też mają nazwiska i imiona: polskie, żydowskie, ukraińskie, niemieckie. Wreszcie – potrafi powiedzieć uczciwie, że gdyby los kazał jej patrzeć, jak na ulicy okupowanego miasta uzbrojeni żandarmi katują człowieka, nie odważyłaby się pomóc. I powtarza dwukrotnie: „Na pewno" (s. 207).

***

„Mówię ci, mamo, żebyś słyszała te opowieści!" (s. 241). Narratorka wie wszystko o niewystarczalności słów, ale – wbrew temu – wybiera pisanie, żeby, paradoksalnie, przyjąć i jednocześnie zrzucić ciężar przeszłości. By nie być już kilkuletnią dziewczynką, pochyloną bezradnie nad dzieckiem płaczącym w swojej matce.

Anna Spólna

Anna Janko, *Mała Zagłada*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2015.

Niedojrzałe jabłka

Andrzej Brzegowy

– Janek, biegnij do Serafina i powiedz ojcu, żeby zaraz wracał – powiedziała stanowczo matka do syna, grzebiącego scyzorykiem w kawałku kory. Zaaferowany pracą nie usłyszał polecenia, ale dotarł do niego znajomy głos, którego nie mógł zlekceważyć. – Zaaraz – odpowiedział na wszelki wypadek, tak, jak zwykle odpowiadał, gdy nie był pewien, co słyszał i żeby zyskać trochę na czasie. Nie chciał przerywać swojej żmudnej i precyzyjnej pracy akurat w momencie, gdy kawałek kory w jego rękach zaczynał przybierać realny kształt, ale matka powtórzyła jeszcze głośniej: – „No szybko, po ojca do Serafina". Dzieciak niechętnie odłożył niedokończoną łódeczkę i mały nóż z drewnianym trzonkiem na blat kuchennego stołu, otrzepał spodnie z resztek kory i wybiegł na dwór. Stanął na chwilę zaskoczony ciemnościami. „Na świat wylał się atrament" – pomyślał, wspominając plamę z przewróconego kałamarza, zalewającą rzędy koślawych liter wypisanych jego ręką na kartce liniowanego papieru. Od roku chodził do szkoły i miał pierwsze w życiu wakacje. Nie różniły się niczym od poprzedniego lata i od wszystkich lat, które już przeżył. Magiczny dźwięk tego słowa, pod którym, jak się spodziewał, musiały być ukryte rzeczy niezwykłe, jak na razie nic takiego nie przynosił. Matka jak kiedyś goniła go do pilnowania krowy, wyrywania koniczyny i mleczu dla kilku królików trzymanych w zbitej przez ojca klatce. Musiał przeganiać obce gęsi włażące na ich łąkę i zbierać jajka z kurzych gniazd, ukrytych w trawie wokół gospodarstwa. A jeszcze za parę dni zaczną się sianokosy i trzeba będzie szarpać grabiami przerośniętą trawę, może i dwa razy dziennie, zanim wyschnie i będzie się nadawać do zwożenia. A później? Jeszcze gorzej, bo chodzenie w sandałach po rżysku mogło dać się we znaki bardziej niż wszystkie muchy schowane w zakamarkach pokoju o poranku. Był już koniec czerwca i nie działo się nic z tych wakacyjnych rzeczy, o których czytał w pewnej książce znalezionej w skromnej biblioteczce ciotki mieszkającej po drugiej stronie drogi. A czytać umiał już całkiem nieźle.

Przełamując lęk, ruszył przed siebie nierówną drogą, na której połyskiwały podłużne lusterka kałuż. Po południu spadł rzęsisty deszcz i droga była jak z plasteliny. Mimo to ciężkie i gęste chmury ciągnęły zza horyzontu, coraz mocniej zasłaniając czerniejące niebo. W jego sandałach zrobiło się nieprzyjemnie mokro, gdy kilka razy wdepnął w rozmiękłą ziemię. Zagroda Serafina oddalona była o kilka domostw, strzeżonych przez ukryte w budach psy. W chatach świeciły się słabe żarówki, malując prostokąciki okien na żółto. Psy biegające luzem podbiegały do chłopca, ciągle szczekając i skręcając pyski w bok, jakby udawały, że chodzi im o kogoś innego. Nie bał się ich, były małe i szczekały na postrach. Te, które budziły jego lęk, uwiązane na łańcuchach wyrywały się w jego kierunku, ale gwałtowny szczęk metalu oznajmiał kres ich możliwości, choć i podwajał siłę ujadania. Co by się z nim stało, gdyby taki łańcuch pękł? Wyobrażał sobie czarną bestię, która wyskakuje z ciemności, by go pożreć. Stado lodowatych mrówek przeszło mu po plecach, tak realne były to obrazy.

Podwórko Serafina różniło się od innych tym, że oświetlała je żarówka zamontowana nad drzwiami wejściowymi do domu. Nie była zbyt silna, ale wystarczała, by zauważyć wóz stojący w głębi podwórka przed stodołą. Sterczał z niego dyszel, nakierowany na dom jak lufa czołgu. Ludzie siedzący na nim byli podobni do obsługujących czołg żołnierzy. Światło z ża-

rówki rysowało czerwonymi plamami twarze na prawie czarnym niebie, pozwalając je rozróżnić. Byli to Serafin, jego syn i ojciec chłopca. Siedzieli na dwóch deskach przerzuconych w poprzek wozu. Pomiędzy nimi na drewnianej skrzynce stała butelka, kieliszki i talerz. Prowadzili żywą i głośną rozmowę i nawet nie zauważyli podchodzącego chłopca. On przysłuchiwał się chwilę wypowiadanym szybko i niewyraźnie słowom, po czym nieśmiało powiedział: – Tato, mama cię woła, żebyś przyszedł do domu.

Mężczyźni zamilkli i spojrzeli w jego kierunku.

– Janek, to ty? – zapytał ojciec. – Czego łazisz tak późno? Nie wziąłeś latarki?

– Baterie wysiadły – odpowiedział.

– Właź tu, na wóz. Zaraz pójdziemy, tylko jeszcze chwilę pogadamy – stwierdził ojciec z wesołym uśmiechem na twarzy, nic sobie nie robiąc z polecenia matki.

Chłopiec wdrapał się na tył wozu, przeszedł do pierwszej ławki i siadł obok ojca.

– Tata, mama kazała, żebyś wracał do domu – powtórzył polecenie ciszej, jakby nie chcąc, by ktoś inny poza nimi je usłyszał.

– Już idziemy, idziemy – odparł ojciec, nawet nie patrząc w stronę syna. Odwrócił głowę w jego kierunku i dodał łagodniej: – Panu Serafinowi zepsuło się światło i musieliśmy je naprawić. Teraz sobie trochę siedzimy i gadamy.

– Janek, szkoła się skończyła, cieszysz się? – zapytał Serafin, siedzący tyłem do światła, które kreśliło na jego głowie aureolę ze sterczących w nieładzie włosów. Gdzieś w okolicach miejsca, w którym powinny być jego usta, zaczerwienił się ogienek papierosa.

– Trochę się cieszę, a trochę nie – odpowiedział po namyśle.

– A dlaczego się nie cieszysz? – padło znowu pytanie, a ogienek zaczerwienił się ponownie.

Chłopiec znowu się zamyślił. Nie chciał udzielić niemądrej odpowiedzi. – Bo muszę krowę prowadzić na pole, a później co chwilę chodzić ją przewiązywać, a jak idę po nią wieczorem, to nigdy nie udaje mi się zdążyć na dobranockę – szybko wypowiedział całą swoją pretensję.

Wszyscy się roześmiali, po chwili syn Serafina wybełkotał: – Widziałem, jakżeś gunił krowę wczoraj pod wieczór, mało cycków nie zgubiła – zaśmiali się jeszcze głośniej. Młody Serafin rechotał najgłośniej. Dopiero skończył 20 lat, ale pił wódkę ze starszymi i klął nie gorzej niż oni. Teraz tłuste i gęste włosy przykleiły mu się do mokrego od potu czoła, a spod brwi strzelały białka oczu.

Chłopiec nie lubił, gdy ludzie śmiali się z tego, co mówił, bo były to dla niego poważne sprawy. Opuścił głowę i wsadził dłonie w kieszenie krótkich spodni. W prawej kieszeni wyczuł kilka kamyków zebranych do strzelania z procy. Zaczął przebierać je palcami, starając się nie słyszeć śmiechu.

Serafin wziął do ręki butelkę i nalał wódkę do kieliszków. Poczęstował pozostałych towarzyszy papierosami, odpalił zapałką schowaną w dłoniach i wydał komendę: – W górę, chłopy!

Trzy dłonie wyciągnęły się po napełnione kieliszki i równo, jak na musztrze, podniosły do ust, przechylając zawartość do szeroko otwartych gardeł. Potem, tak samo równo, wyciągnęły się do talerzyka po pokrojone kiszone ogórki. Słychać było, jak zęby je miażdżą, a usta mlaskają z zadowolenia. Zaświeciły się nierówno ogniki papierosów, oświetlając na przemian twarze mężczyzn.

Chłopiec siedział cicho, zastanawiając się, jak przekonać ojca do powrotu do domu. Wiedział, że matka cały czas czeka i jest pewnie coraz bardziej zdenerwowana.

– Niektórzy ludzie watują korki czym popadnie, ale nie wiedzą, że jak pierdolnie na słupie, to dopiero będzie kłopot – stwierdził ojciec. – Korki są po to, żeby się przepalały, jak za dużo prądu idzie. Popodłączają, co tylko się da, a kable słabe i stare. Montują silniki do krajzeg, a te potrzebują siły – kontynuował.

– Kto by się na tym wszystkim znał. Jest prąd, to i powinno działać – mówił syn Serafina.

– Jeden podniesie worek zboża, a inny nie. Tak samo jest z prądem. Kable się grzeją i palą. Jeszcze chałupa może pójść z dymem, jak zawatują grubym drutem – odpowiedział ojciec.

Chłopiec zaczął przysłuchiwać się rozmowie. Ojciec mówił o sprawach, które i jego interesowały. Wiele razy widział, jak w ścianach nowych domów wykuwa bruzdy, żeby poprowadzić nimi kable ze ścian do sufitu, miejsca pod gniazda i kontakty elektryczne. Stał wtedy przy ojcu, czekając na jego polecenia. „Daj młotek", „Daj śrubokręt", „Szczypce!", „Kombinerki podaj". Podawał z poczuciem dumy, że może być uczestnikiem tych poważnych czynności. Taki dom obrastał nitkami kabli niczym pędami winorośli. Czuł się jednym z tych ważnych narzędzi służących ojcu do rozświetlania mieszkań żółtym światłem, przy którym ludzie zbierali się na wieczorne pogawędki, a ich dzieci mozolnie odrabiały prace domowe zadawane przez bezdusznych nauczycieli. Dzięki tym nitkom grały i gadały radia, rozświetlały się srebrzyście okienka nielicznych telewizorów z tajemniczo żywymi rysowanymi ludzikami czy laleczkami. Działy się tam historie tak mocno przykuwające uwagę, że słabły wszystkie matczyne ponaglenia i polecenia. Siłę i magię tych urządzeń od niedawna mógł sam poczuć, kiedy duże pudło telewizora stanęło i w jego domu, na specjalnym stoliku przykrytym okrągłym koronkowym obrusikiem. Podobny, ale mniejszy spoczął na górze odbiornika, zwieszając się kawał-

fot. Stanisław Zbigniew Kamieński

kiem od przodu jak ciasto ze stolnicy, a drewniana, przypalana na krawędziach figurka sarny, przywieziona przez ciotkę z wycieczki po górach zwieńczyła całość.

Podziwiał ojca za tę tajemną moc, której nie umiał pojąć, i nie rozumiał matki, witającej ojca, wracającego z owych magicznych prac pełnym pretensji podniesionym głosem. Widział też kiedyś, jak ojciec, wezwany przez sąsiada, wchodził po drabinie przystawionej do ściany domu, by naprawić zerwane wichurą druty. Powoli, szczebel po szczeblu, kroczył na górę, do miejsca, w którym druty powinny być przymocowane do porcelanowych grzybków nasadzonych na metalowe pręty. Drabina chwiała się we wszystkie strony. Chłopcu wydawało się, że ojciec wspina się na niebotyczną wysokość. Kiedy był już na samej górze, trzasnęło drewno szczebla i ojciec zaczął spadać w dół, prując drabinę na dwoje. Łamały się kolejne szczeble. Zatrzymał się dopiero z metr od ziemi. Stojący obok dwaj mężczyźni, klnąc, rzucili się na pomoc. Schodził z resztek drabiny ze skrzywioną twarzą, podtrzymywany przez sąsiada. Ojcu jednak nie stało się nic groźnego. Potłukł i podrapał sobie ręce i nogi. Odchylił koszulę, żeby obejrzeć długie zadrapanie na prawym boku. Dotknął rany, z której ciekło trochę krwi.

Powiedział tylko: – Franek, zrób sobie lepszą drabinę. Po chwili dodał: – I przynieś flaszkę.

Franek natychmiast odwrócił się i pobiegł do chałupy po drugiej stronie drogi.

Chłopcu zdawało się, że przestał oddychać do momentu zejścia ojca na dół. Zakręciło mu się w głowie. Myślał, jak niebezpieczna jest praca ojca i dlatego nie rozumiał złości matki.

Kiedy Franek wrócił z wódką, o ścianę opierała się już inna drabina, solidniejsza i świecąca świeżym drewnem. Ojciec nalał sobie na garść odrobinę alkoholu i wtarł w ranę na boku. Potem wszedł jeszcze raz na górę i szybko zamontował druty. Franek zniknął w domu, by po chwili pojawić się z wielkim pudłem radia w rękach, które postawił na stoliku przed wejściem. Za chwilę popłynęła z niego muzyka, a on krzyknął: – Można posłuchać wreszcie! Złapał nawet przechodzącą obok żonę, zakręcił się wokół niej, ale ta odepchnęła go szybko i znikła w domu. Po chwili siedzieli we trzech na podwórku Franka, pili wódkę i jedli zrobione przez jego żonę kanapki.

Zabulgotał płyn w butelce trzymanej przez Serafina. Napełniły się kieliszki i znowu, jak na komendę, trzy ramiona chwyciły je i uniosły do rozwartych gardeł.

– Nie ma już ogórków, nie ma czym zagryźć – stwierdził Serafin. – Idź Janek do sadu i urwij trochę jabłek – powiedział do chłopca.

– No skocz synek, tylko prędko! – dorzucił ojciec, bo chyba dostrzegł brak entuzjazmu u syna.

Chłopiec zeskoczył z wozu, minął łukiem psią budę, w której błysnęły dwa światełka w oczach obojętnego kundla. Z otwartych drzwi chlewu doszedł go intensywny zapach świńskiego gnoju. Szeleściła pod stopami słoma rozrzucona na ziemi. Dzięki niej błoto nie było tak uciążliwe. Ostrożnie wszedł w ciemność za stodołą, gdzie znajdował się sad. Było w nim kilka drzewek rosnących na sporej przestrzeni. Znał je, bo kilka razy w towarzystwie wnuka Serafina zrywał z nich papierówki, śliwki i twarde jak kamień gruszki. Jak sobie przypominał, jabłoń rosła tuż na początku sadu. Znowu czuł lęk. Wszystko wydawało się spowite delikatną mgłą i odrętwiałe od ciszy. Nawet żaby, nieustannie rechoczące o tej porze roku, jakby wstrzymały oddech w oczekiwaniu na to, co będzie dalej. Wzrok powoli przyzwyczajał się do ciemności i pozwalał rozróżniać zarysy i kontury drzew. Kroczył wolno, tak by w mroku nie zderzyć się z którymś z nich, albo też nie wleźć w kępę pokrzyw. Stracił poczucie odległości i orientację. Wszystko teraz miało trochę inny układ, jakby elementy na noc zmieniły swoje ustawienie, zostały poprzestawiane, by utrudnić mu dotarcie do celu. Poczuł odór przekopanego w pobliżu zagrody Serafina kanału ściekowego z garbarni. Ciągnął się aż na łąki, do rowu melioracyjnego. Przecinał też drogę, którą codziennie szedł do szkoły. Przechodząc koło niego, musiał zatykać sobie nos, bo smród bijący od zielonkawego płynu był trudny do zniesienia. Zapach nie był jednak dobrym drogowskazem. Na szczęście rów był za ogrodzeniem, więc pomyślał: „Nie wpadnę do niego, bo wcześniej są sztachety". Zachrzęściły pod stopami jakieś kamyki. To znak, że jest blisko porośniętej pokrzywami pryzmy kamieni tuż przy drewnianym ogrodzeniu, a nie, jak myślał, bliżej stodoły. Wiedział już, że trzeba skręcić bardziej w prawo. Brnąc przez wysoką trawę, czuł zimne krople rosy spadające na jego łydki i kolana. Potknął się o wystające z ziemi kawałki żelastwa. Wiedział że tu są, walały się wszędzie, ale całkiem o nich zapomniał. Z wysokiej trawy sterczały stare brony, jakiś zdezelowany siewnik, jeszcze używana koparka do ziemniaków, fragmenty innych maszyn, łopat, pordzewiałej blachy. Ukryte w kępach pokrzyw, bo te szczególnie lubiły towarzystwo żelaza i rdzy, były trudne do ominięcia nawet w ciągu dnia. Skaleczona noga bolała, napluł sobie na dłoń i tarł ranę, powstrzymując się od płaczu. Mimo to poczuł na swoim kolanie kilka ciepłych łez. Podniósł się i utykając dotarł do najbliższego drzewka jabłoni. Myślał teraz o tych wszystkich istotach żyjących na drzewie. Bał się dotknąć miękkiego ciała gąsienicy siedzącej na owocu, jak to się nieraz już zdarzyło. Czuł obrzydzenie do tych mechatych stworków. Lodowate mrówki znowu urządziły sobie spacer po jego plecach. Chwycił jednak nisko pochyloną gałąź i zerwał kilka małych jabłek. „Za mało. Trzeba wejść na drzewo" – pomyślał. Czekał chwilę, nie mogąc się zdecydować. Obszedł drzewo w nadziei, że na innych gałęziach będzie więcej, ale nie sięgał do majaczących w ciemnościach jasnych plam jabłek. Chwycił się najniższej gałęzi i wsparł nogę o pień. Z wysiłkiem piął się w górę, łapiąc się szorstkich ramion drzewa. Stanął wreszcie stopami na dwóch szeroko rozstawionych gałęziach. Nogi mu się trochę trzęsły. Jabłek jednak było niewiele, te których dosięgnął, zrzucił w ciemność. Uderzając w ziemię, wydawały cichy, głuchy dźwięk. Ostrożnie obrócił się do tyłu. Dostrzegł jeszcze kilka wiszących ponad swoją głową. Na tle nieco jaśniejszego nieba łatwiej było je wypatrzeć. Wyciągnął rękę, żeby zerwać najbliższe, ale brakowało mu kilka centymetrów. Poprawił ustawienie stóp i jeszcze raz spróbował. Wyprężył się najmocniej jak tylko potrafił, ale nie dał rady złapać całego owocu, a jedynie dotknąć wskazującym palcem. Musiał przestawić stopy na dalsze gałęzie. Przełożył lewą nogę na najbliższą. Stał już tak szeroko, że poczuł ból rozciągniętych ścięgien. Kurczowo trzymał się dłońmi pnia i nagle zrozumiał, że na tej mokrej i śliskiej korze nie da rady zrobić już żadnego ruchu. Spojrzał w dół, gdzie nie rysował się żaden kształt, pozwalający ocenić wysokość, na jakiej się znalazł. Nogi dygotały coraz bardziej – z wysiłku, z zimna, ze strachu. Chciał krzyknąć o pomoc, ale przypomniał sobie śmiech kolegów ojca. Po chwili zdecydował się na desperacki ruch. Lewą ręką odepchnął się od pnia, a prawą machnął w powietrzu w nadziei, że chwyci najbliższą gałąź. Kiedy jego palce zacisnęły się już na szorstkiej korze, nagle pojawiło się to ohydne, znienawidzone uczucie, gdy dłoń rozgniata miękkie ciało liszki, a jej wnętrzności tryskają pomiędzy palcami. Po raz drugi poczuł dreszcz biegnący po plecach i stające dęba włosy na głowie. To już nie było stado lodowych mrówek, ale całe mrowisko, które wpadło w panikę. Może nawet krzyknął, ale tego nie mógł sobie później przypomnieć. Oderwał rękę od konara, druga gwałtownie krążyła w powietrzu, chcąc złapać cokolwiek, i gdyby chwycona mocno gałązka nie była tylko suchym wspomnieniem poprzedniego lata, może by przywróciła mu równowagę, a tak usłyszał tylko jej trzask i poleciał w dół, w trawę, gdzie na jego plecy czekała już wystająca z trawy zardzewiała część lemiesza.

Leżał obok jabłek i zastanawiał się, czy jeszcze żyje, bo zdawało mu się, że jest ciemniej niż przedtem. Dopiero po chwili poczuł ból, jednak zebrał się w sobie i na klęczkach zaczął zbierać owoce. Włożył je do podtrzymywanego lewą ręką dołu koszulki. Niósł ciężki bagaż ostrożnie, obejmując go obiema rękami. Lewa stopa nagle utonęła w miękkim, krowim placku. Ze wstrętem wytarł but o trawę. Ledwo widoczny w ciemnościach czarny kontur stodoły oddzielał go od podwórka. Okrążył ją chwiejnym krokiem i zbliżył się do wozu. Wdrapał się z wysiłkiem i podsunął prowizoryczny koszyk pod dłonie Serafina. Ten wyjął jabłka i ułożył na talerzu. Chłopiec siadł na swoim miejscu. Poczuł rękę ojca na swojej głowie. Był bardzo zmęczony. Chciało mu się spać. I płakać.

– U Kupisa byłeś po te jabłka? – padło pytanie zza wozu. I znowu ten śmiech, który tak peszył chłopca, rozległ się na podwórku. Syn Serafina, chwiejąc się mocno, wyszedł z ciemności, zapinając rozporek.

Kupis mieszkał na drugim końcu wsi i chłopiec wiedział, że sobie z niego żartują. Nie chciał się jednak zdradzić ze swoim bólem i strachem, dlatego zacisnął zęby i popatrzył groźnie na zadającego pytanie. Chętnie rzuciłby w niego jednym z tych jabłek, które z takim trudem zebrał. „Tylko dlaczego tata się ze mnie śmieje" – zastanawiał się w myślach.

– Już mieliśmy po ciebie iść – wydusił z siebie ojciec.

– Ja bym poszedł, ale już niewiele widzę – dodał syn Serafina. Znowu się zaśmiał.

– Łyknijmy – zakomenderował Serafin. Podnieśli kieliszki i wlali płyn w gardła. W ich zębach zatrzeszczały przyniesione jabłka. Na ten dźwięk chłopiec poczuł napływającą ślinę do ust i lekki, nieprzyjemny dreszcz. O tej porze nie było jeszcze dojrzałych jabłek.

– Ale kwaśne, skurwysyny – wycharczał syn Serafina. Odchylił się na bok i wypluł w ciemność resztki jabłka.

– Lepsze to niż nic – odpowiedział ojciec. Kiedyś piliśmy pod ciepłe mleko. Wszyscy rzygali jak koty. Robiliśmy wtedy słupy pod wysokie napięcie.

Andrzej Brzegowy

Urodzony 15 lutego 1962 r. w Radomiu. Studia w latach 1987–1992 na Wydziale Grafiki Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych (obecnie Akademia Sztuk Pięknych) w Łodzi. Dyplom w 1993 r., w pracowni drzeworytu prof. Andrzeja Bartczaka, aneks w pracowni malarstwa prof. Juliusza Narzyńskiego. Obecnie zatrudniony na stanowisku profesora nadzwyczajnego na Wydziale Sztuki Uniwersytetu Technologiczno-Humanistycznego w Radomiu. Prowadzi zajęcia z rysunku i grafiki warsztatowej.
Twórczość w zakresie malarstwa, grafiki, rysunku i rzeźby. Brał udział w ok. 70 wystawach zbiorowych oraz zorganizował osiem wystaw indywidualnych.
W „MP" nr 2 (143) marzec–kwiecień 2014 opublikowaliśmy inny fragment prozy Andrzeja Brzegowego, zatytułowany „Corrida", której częścią jest także prezentowany tekst.

Gdzieś koło Kozienic. W marcu – lało kilka dni. Jeden wlazł na słup na kacu, złapał drut i tak go pieprznęło, że spadł. Wbił się w ziemię po pas, bo to na polu było. Musieliśmy łopatami go obkopać, żeby go zabrali do szpitala.

– Przeżył? – zaciekawił się Serafin.

– Eee tam. Nie wiadomo, co go zabiło. Czy prąd, czy ziemia. Pewnie jedno i drugie – odpowiedział ojciec.

Głowa chłopca przechylała się to w prawo, to w lewo i ciężko było mu ją utrzymać w pionie. Myśl o czekającej na ich powrót matce otrzeźwiła go i przypominała o zadaniu, które miał wykonać.

– Tata, chodź już do domu – powiedział cicho, szarpiąc ojca za koszulę.

– Dej ojcu jeszcze posiedzić – wymamrotał Serafin i pociągnął papierosa. Chłopcu wydało się, że tym razem ogienek zaświecił się wyżej, w miejscu, gdzie powinno być jego oko. „Zaraz zasnę" – pomyślał.

– Już idziemy, synek. Wypijemy po jednym tylko.

Szli obok siebie po miękkiej drodze. Chłopcu plątały się nogi ze zmęczenia, ojcu od nadmiaru alkoholu. W nocnej ciszy rozległ się donośny i czysty śpiew. „Góralu, czy ci nie żal? Góralu wracaj do chat...". Ojciec lubił śpiewać, szczególnie wtedy, gdy miał już sporą ilość wódki w sobie. Śpiewał na weselach, komuniach, imieninach i urodzinach. Śpiewał na świątecznych przyjęciach i przy takich okazjach jak ta. Wszyscy wtedy milkli i słuchali. Czasem jakiś śmiałek próbował mu dotrzymać kroku, ale szybko gasł. Miał mocny i klarowny głos. Nie jakieś tam pijackie mamrotanie. Był przecież góralem, a oni rodzą się śpiewakami.

Psy tego nie doceniały. Wyły i ujadały. Cała psia wieś szczekała. Ojcu było to obojętne. W górach miałby echo, tu odpowiadały mu tylko psy.

Kiedy weszli na podwórko, chłopiec przypomniał sobie o nodze zanurzonej w krowim placku. Zdjął sandałki i wytarł nogi o mokrą od rosy trawę, co go ochłodziło i otrzeźwiło. Poczuł się lepiej i wkroczył za ojcem do domu. Siadł na łóżku, półprzytomny ze zmęczenia i zaczął się rozbierać. Matka mówiła do ojca podniesionym głosem. Położył głowę na poduszce, powieki opadały ciężarem ponad jego siły. Głos matki narastał. Dostrzegł jeszcze przelatującą nad jego głową czarną bryłę, podobną do kawałka węgla. Odbiła się o ścianę i spadła pokruszona na podłogę. Myślał, że to już sen i zasnął.

Obudziło go głośne chrapanie. Spojrzał do góry i dostrzegł sufit kuchni. Ojciec spał obok niego. Widział jego nagie plecy i czuł ich dorosły zapach. Poruszały się rytmicznie, zgodnie z odgłosem chrapania. Patrzył na porowatą skórę, na ciemnobrązowe znamię, z którego sterczały dwa długie włoski. Chłopiec zmrużył jedno oko. Drugim widział je z mniejszej odległości i bardziej po skosie. „Wyspa z palmami" pomyślał. Plecy ojca wydawały się jakąś planetą, nieznaną ziemią, po której chodził oczami, niczym robak, szukając schronienia. Promieniowały ciepłem i dawały poczucie bezpieczeństwa. Podniósł się na rękach. Zobaczył, że ma na sobie brudną koszulkę z poprzedniego dnia. Zaczął ją ściągać, ale ta stawiała opór, jakby była przyklejona do pleców. Szarpnął mocniej i poczuł ból rozrywanej rany. Wtedy dopiero wróciły do niego obrazy z poprzedniego wieczoru. Zobaczył rozrzucone na podłodze bryły węgla. Przez moment zastanawiał się, skąd taki bałagan w kuchni. Dlaczego węgiel zamiast w węglarce, pod piecem, leży rozrzucony na podłodze?

Andrzej Brzegowy

fot. archiwum

Pisanie jest niesłychanie zachłanne

z Teresą Ewą Opoką
rozmawia Ilona Michalska-Masiarz

Dlaczego Pani pisze? Dlaczego jest to dla Pani takie ważne?
Nie można sobie wymyślić takiego zawodu – będę pisarzem, będę pisarką. Nikt nie chciałby się tak trudzić za tak małe pieniądze. Pewni ludzie rodzą się skazani na coś: na bluesa, na pisanie, na malowanie. Odczuwa się to jako kategoryczny nakaz. Niestety, tylko nielicznym udaje się odnieść sukces. Byłabym hipokrytką, gdybym nie stwierdziła, że mnie się udało. A że tak późno? Sama sobie jestem winna.

Od kilku lat, od książki *Wszystko o Edycie*, kojarzona jest Pani z nurtem tzw. literatury kobiecej. Dlaczego akurat taki typ literatury Pani tworzy?
Piszę o świecie, który znam najlepiej – o problemach kobiet. Kategorię „literatura kobieca" nie ja wymyśliłam, nawet nie jestem pewna, czy można mnie do niej zaliczyć, ponieważ nie interesują mnie tylko relacje damsko-męskie. W swoich powieściach poruszam różne problemy życia społecznego na tle sytuacji politycznej, a bywa, że i z historią w tle, jak w mojej ostatniej powieści.

Skąd Pani czerpie pomysły?
Pomysły zwykle przychodzą same – z życia. Oczywiście, bardzo przydaje się wyobraźnia.

Którą ze swoich książek ceni Pani najwyżej? I dlaczego?
Trudno mi powiedzieć, którą książkę oceniam najwyżej. Dla każdej piszącej osoby ta ostatnia jest najważniejsza. Książka idzie w świat i to odbiorcy ją oceniają. Cieszę się, że *Żona psychopaty* została zgłoszona przez czytelniczki do nagrody Pióro i Pazur, a jury do tejże nagrody ją nominowało. I choć skończyło się na nominacji, to cieszę się mimo wszystko, ponieważ i tak Radom wygrał – główną nagrodę otrzymała inna pisarka stąd, Grażyna Jeromin-Gałuszka.

Ale nominacja czytelniczek to taka nagroda publiczności. I świadczy o tym, że ta książka, choć trudna, jest ważna i była potrzeba jej napisania. Jak po dwóch latach od wydania ocenia ją Pani? Albo jakie głosy do Pani dotarły ze strony czytelników? Lub czytelniczek, które zmagają się z problemem przemocy w rodzinie.
Okazało się, że *Żona psychopaty* była bardzo potrzebna. Ukazało się około pięćdziesięciu recenzji, a wśród nich tylko dwie krytyczne – i to częściowo. Miałam mnóstwo wywiadów i spotkań. W Radiu TOK FM przez ponad godzinę na żywo rozmawiałam z kobietami z całej Polski. Nie spodziewałam się takiego odzewu. Zresztą do tej pory książka jest wciąż wznawiana.

Jak doszło do tego, że zaczęła Pani pisać? Najpierw była to poezja, prawda? Potem dopiero opowiadania, powieści.
Zaczęłam myśleć poważnie o pisaniu dzięki Radomskiej Wiośnie Literackiej. Wielokrotnie opowiadałam na spotkaniach autorskich, jak to przeczytałam w gazecie, którą miałam właśnie wyrzucić do kosza, o konkursie na wiersz. Postanowiłam (w tajemnicy przed bliskimi) napisać trzy wiersze i wysłać. Dostałam nagrodę i – co najważniejsze – propozycję wydania tomiku. W jury był ktoś z Wydawnictwa Łódzkiego. Krytycy i redaktorzy byli przekonani, że mam dziesiątki zeszytów z dziewczęcymi i dorosłymi wierszami. Prawda była taka, że miałam ich tyle, ile wysłałam na konkurs – trzy. Wcale się tym nie przejęłam, usiadłam i w ciągu tygodnia napisałam około 60 nowych. Sądziłam, że jestem poetką, ale wkrótce okazało się, że wena mnie opuściła. Tomik *Przypadki* jest jedynym w moim dorobku. Przez lata, które upłynęły od owego debiutu, napisałam jeszcze kilka wierszy – może z dziesięć, zawsze z wyjątkowych powodów. Później wydałam tomik opowiadań i zaczęłam myśleć o napisaniu powieści.

Po drodze, oprócz wspomnianego wyżej tomiku poetyckiego, były jeszcze *Abecadło kobiety tamtych lat* oraz *Schodami w dorosłość*. Książki trochę inne od tego, co tworzy Pani obecnie, od kilku już lat. Pierwsza to zbiór haseł-wspomnień, takich miniesejów z okresu PRL-u, druga – poradnik dla młodzieży. Czy były to próby poszukiwania tej najwłaściwszej, najbardziej odpowiadającej Pani formy, czyli powieści?
Te tytuły, które Pani wymieniła, wydałam we własnym wydawnictwie, które założyłam wraz z kolegą z Kielc w 1990 r. Było to takie „niedzielne", dosłownie niedzielne pisanie, ponieważ byłam niesamowicie pochłonięta pracą i na własną twórczość nie miałam czasu.

***Schodami*... próbowałam ostatnio wypożyczyć, żeby przygotować się do wywiadu, ale wszystkie egzemplarze, które posiada biblioteka, były już wypożyczone. To świadczy o tym, że była i nadal jest to książka potrzebna i że chyba się nie zestarzała. *Abecadło*... zdobyłam. I... spodobało mi się. We wstępie do tej książki, no... już prawie 20 lat temu, napisała Pani, że podobnego opisania rzeczywistości po przewrocie 1989 r. należałoby dopiero dokonać. Czy nie uważa Pani, że to jest dobry pomysł, aby po 25 latach istnienia III RP sporządzić taki wykaz?**
Jeszcze nikt nie podsunął mi takiego pomysłu! Coś mi się zapaliło w mózgu, byłby to ciekawy projekt. Takie „abecadła" pisują mężczyźni. A III RP oczyma kobiety? Aż się boję, że nie będę się mogła od tego pomysłu uwolnić.

Nawiązała Pani także „romans" z teatrem. Jak do tego doszło? I czy to tylko romans, czy trwały związek?

Z teatrem było trochę inaczej... Trochę jak ze szkolną miłością – ja kochałam się w nim skrycie, a on we mnie w tajemnicy. Po latach dowiadujemy się o tym, uśmiechamy się z niedowierzaniem i z radością, ale prawda jest okrutna – jesteśmy już starzy i brzydcy. Zbyt późno odważyłam się spróbować sił w tym gatunku. Trochę żal, ale zostało mi nie za dużo czasu i muszę wybierać. Niestety, na niekorzyść teatru (mam na myśli mój wybór, a nie teatr w ogóle), bo tu trzeba się zaangażować całą duszą i sercem, a nie mam żadnej gwarancji, że ktoś wystawi moją sztukę. Dyrektor Teatru Polskiego Radia po wygranym konkursie na sztukę współczesną (w której główną rolę zagrała Ewa Wiśniewska), proponował mi wprawdzie współpracę, ale miałam już podpisaną umowę z Prószyńskim na następną powieść. Gdybym miała wtedy około 30 lat, mój wybór byłby inny.

Jak zaczęła się współpraca z wydawnictwem Prószyński? To chyba bardzo cenne dla piszącego mieć stałego wydawcę, który czeka na każdą kolejną książkę? I w dodatku jest to wydawca znany, o ugruntowanej pozycji.
Gdy napisałam *Wszystko o Edycie*, po bardzo długiej przerwie, wysłałam ją e-mailem do kilku wydawnictw i otrzymałam odpowiedź od Prószyńskiego. To było w 2009 r. i od tej pory właśnie w tym wydawnictwie regularnie wydaję. Jestem bardzo zadowolona ze współpracy. I chyba ze wzajemnością.

Jeśli nie jest to zbyt osobista sprawa, chętnie dowiedziałabym się, co spowodowało tę przerwę w pisaniu.
Nie jest to osobista sprawa. Już o tym wspominałam. Założyłam wydawnictwo i prowadzenie go pochłaniało bardzo dużo czasu i energii. Tymczasem pisanie jest niesłychanie zachłanne. Wreszcie musiałam się na coś zdecydować.

A twórczość dla dzieci? Czy ta jedna wydana książeczka to odosobniony przypadek, czy planuje Pani jeszcze pisać dla małych czytelników?
Tak, napisałam jedną książeczkę o naszym psie dla moich córek. Jednak jest to zbyt trudny, niesłychanie wymagający odbiorca, o wiele łatwiej pisze się dla dorosłych.

Pani opinia, że mały czytelnik jest dużo bardziej wymagający przypomniała mi coś, co ostatnio wyczytałam. U Małgorzaty Musierowicz zresztą, jednej z najbardziej znanych i kochanych (przez kilka pokoleń czytelników) współczesnych pisarek dla młodzieży. Otóż prof. Jan Kott, wybitny szekspirolog, znawca teatru, eseista i krytyk literacki, autor wielu książek z tych właśnie dziedzin, za swoje najważniejsze dzieło uważał *Bajeczki dla Lidusi* – książeczkę napisaną dla swojej maleńkiej wnuczki. Może zechciałaby Pani raz jeszcze przemyśleć swoją decyzję? Ponieważ szkoda mi, że nie powstanie już opowieść podobna do tej o małym jamniczku Piracie, zabawna, mądra, ale nieodstraszająca nachalną dydaktyką...
Napisałam wiersz dla mojej malutkiej wnuczki. Może kiedyś powie, żebym napisała dla niej książeczkę? Wtedy kto wie? Muszę mieć silną motywację, bo, jak mówię, to gatunek niesłychanie trudny.

Jako że to wywiad dla „Miesięcznika Prowincjonalnego", chciałam zadać pytanie właśnie o prowincję, o to, czy łatwo być pisarzem na prowincji? A może łatwiej, lepiej? Czym dla Pani jest prowincja?
Mam wrażenie, że jeśli chodzi o pisanie, nie ma to żadnego znaczenia. Są pisarze, którzy z małych miejscowości przeprowadzili się do Warszawy (jak Myśliwski z Sandomierza) i odwrotnie – ci, którzy wolą pisać z dala od zgiełku (jak Stasiuk, który uciekł z Warszawy w Bieszczady). Ja należę do tych drugich. Widocznie zależy to od usposobienia, charakteru.

Czym dla mnie jest prowincja? Dla kraju – wszystko, co najlepsze, najciekawsze, najbardziej interesujące. W centrum mamy blichtr, pozór, pianę, obcość, niepewność, rywalizację, pośpiech. Jadę do Warszawy; idę do teatru, do kawiarni, na jakieś spotkanie (dawniej też na zakupy) i cieszę się, że mam gdzie wrócić.

Ale czy w kompleksie prowincji nie chodzi właśnie o to, że nie ma kawiarni, sklepów, teatrów, wydarzeń, że trzeba gdzieś jechać, aby zdobyć czy przeżyć coś niezwykłego, wyjątkowego ?
Nie, nie, nie. U mnie na wsi nie ma nawet sklepu – raz dziennie przejeżdża samochód-piekarnia i raz – spożywczy. Wszyscy mieszkańcy spotykają się przy samochodzie, rozmawiają, żartują. I proszę mi wierzyć, że niektórzy ludzie ze wsi mają w sobie o wiele więcej mądrości aniżeli autorytety, które wypowiadają się w mediach. Na tym polega urok prowincji. Zaś czym innym jest prowincjonalizm, który ma się w głowie bez względu na miejsce zamieszkania. Polega on na braku myślowych horyzontów, na pewnej zaściankowości, na kompleksach, które usiłuje się rekompensować na przykład złotymi zegarkami.

Chciałabym jeszcze zapytać o najnowszą książkę, tę będącą w druku. O czym jest?
Właśnie jest tam trochę o ludziach z mojej wsi – główna bohaterka z niej się wywodzi. Jej matka wyjechała do Anglii, ojciec pije, a ona przyjeżdża do wielkiego miasta, do Radomia, bo znalazła tu pracę i pragnie być bliżej braci, którzy są w domu dziecka. Tu znajduje miłość i tak dalej. Miejsce akcji – kamienica na Piłsudskiego, a nawet biblioteka. Jest i drugi wątek – Radom w czasie okupacji i tuż po wojnie. Te czasy wspomina pani Antonina, którą opiekuje się tytułowa Kalina (jeśli wydawca nie zmieni mi tytułu).

Zapowiada się obiecująco. Myślę, że nie tylko ja z niecierpliwością czekam na jej ukazanie się.

Ilona Michalska-Masiarz

Teresa Ewa Opoka – urodzona w Radomiu poetka, dramato- i powieściopisarka. Absolwentka historii na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, przez wiele lat pracowała jako nauczycielka w radomskich szkołach średnich. W latach 90. XX w. współwłaścicielka Oficyny Wydawniczej STON I. Autorka dramatów: „Pątniczki" (wyróżnienie na Festiwalu Sztuk Odważnych, 2006), „Ósma dziesięć do zmierzchu" (drugie miejsce w konkursie Polskiego Radia, 2006), „Uliczna ballada" (2011). Opublikowała tom poezji *Przypadki* (1983), zbiór opowiadań *Miłość nad życie* (1988), powieść dla młodzieży *Kocie oczy* (1991), poradnik dla młodzieży *Schodami w dorosłość: 871 uwag, rad, wskazówek na udane, ciekawe życie* (1995), zbiór szkiców *Abecadło kobiety z tamtych lat* (1997), książeczkę dla dzieci *Pirat – ho, ho!* (1998) oraz powieści *Wypożyczalnia mężczyzn* (2002), *Wszystko o Edycie* (2009), *Wyspa kobiet* (2010), *Żona psychopaty* (2013). W tym roku ukaże się najnowsza – *Kalina*.

O wystawie Michała Kurkowskiego i radomskich grafikach

Mieczysław Szewczuk

I tym razem o dwóch wystawach.

1. Michał Kurkowski (ur. 1965) studiował na Wydziale Grafiki ASP we Wrocławiu, ukończył studia w 1998 r., w 2005 r. otrzymał na tej uczelni tytuł doktora; pracuje na Wydziale Sztuki UTH; znany jest w Radomiu z barwnych grafik dużego formatu wykonywanych w technikach metalowych (akwaforta, akwatinta, odprysk), jak te, za które otrzymał w grudniu 2014 nagrodę na 43. Salonie Zimowym. Jakby na przekór temu w lutym 2015 otworzył w Miejskiej Bibliotece Publicznej – na swoje 50. urodziny – wystawę pt. „Małe ryciny". Właściwie retrospektywę – 31 prac, od czasu studiów, z lat 1998–2014 r. Od początku autor skupia uwagę na warsztacie, ale tytuły uświadamiają nam, w jakim kręgu myśli, wyobraźni porusza się artysta; jakie emocje towarzyszyły powstaniu tych – pozornie abstrakcyjnych – miniatur. Powiedział mi kiedyś, jak to się stało, że z jego prac zniknęła postać, niemal całkowicie. Sylwetka była uproszczona, zdeformowana...

– Tak widzisz człowieka? – spytał kolega. – Gratuluję!

Jest materia, jest barwa (efekt odciśnięcia kilku matryc), są tylko zarysy jakichś form (także geometrycznych), plamy... Grafika staje się malarstwem; zrezygnował z nakładów, są tylko pojedyncze egzemplarze, odbitki autorskie. Jako swoje inspiracje wymienia sztukę kultur prymitywnych, znaną z odkryć archeologicznych, ale też obrazy kosmosu i opowieści o kosmitach. Jakby założył, że sztuka to zapis tego, co zapisaliśmy w sobie nieświadomie: obrazów, przeżywanych emocji. Że świat poznajemy zmysłami. Treści pojawiają się później. Wskazówką są (trudno czytelne) podpisy. Literackie tytuły prac na wystawie: „To czego nie znamy, czym było wczoraj, dzisiaj nim nie jest" (1998/2000), „Kształt czasu" (2002), „Wirując" (2004), „Wielka niemoc", „Czas uciekać", „Miasto płonie", „Pobyt stały" (te z 2014 r.); tytuły innych jego prac: „Urojone zobowiązanie", „Uciekinier", „Powrót z wygnania", „Przystań spokoju", „Jedno niebo, jedno piekło" – zapisały niepewność, lęk... Odsłaniając i ukrywając co osobiste, gra z nami, przekomarza się Michał Kurkowski. Myślę o nim: znakomity grafik – z coraz większą warsztatową wirtuozerią i swobodą tworzy kolejne plansze, nadając abstrakcji swoje osobiste przesłanie (odczytają nieliczni!). Przez stulecia grafika pełniła rolę ilustracji, ale była sztuką dla niewielu, elitarną, w XX w. przez pewien czas (np. lata 60. –70.) stała się bardziej popularna; teraz zastępują grafikę, z jednej strony – tradycyjny rysunek, z drugiej – powszechnie dostępny druk cyfrowy.

Wystawa: „Michał Kurkowski, Małe ryciny", Miejska Biblioteka Publiczna w Radomiu, 5 luty – 31 marca 2015.

2. Na wystawie „Kartka papieru dziełem sztuki. Rysunki, grafiki, wycinanki, fotografie", którą zorganizowaliśmy w Muzeum Sztuki Współczesnej w 2014 r., w serii wystaw prezentujących zbiory i jednocześnie edukacyjnych zwróciliśmy szczególną uwagę na kolekcję grafiki. W dużej sali na piętrze: arcydzieła polskiej grafiki II połowy XX w. – linoryty Gielniaka, drzeworyty Panka, akwaforty Mieczysława Wejmana, miedzioryty Gaja, linoryty barwne Janiny Kraupe...; w kolejnej prace grafików radomskich. By przypomnieć, kto spośród radomian uprawiał grafikę, wymienić najważniejsze nazwiska, osiągnięcia, pokazać, jakie wybierali lub wybierają techniki. W latach 60. jedynym z radomian, który często uczestniczył w licznych wtedy ogólnopolskich wystawach grafiki, był Tadeusz Hajnrych (absolwent łódzkiej uczelni); tworzył linoryty, w nich z emocją pokazywał otaczającą rzeczywistość, np. ludzi stłoczonych w podmiejskim pociągu („Podmiejski"), chaos zabudowy przedmieścia czy małego miasta („Podradomscy").

W 1975 r. Wydział Grafiki warszawskiej ASP ukończył Stanisław Zbigniew Kamieński – dyplom przygotował w pracowni litografii, w której potem pracował; litografie pozwalają nam śledzić jego drogę od obrazów rzeczywistości (pejzaży, portretów, martwych natur) do kart wypełnionych przecinającymi się liniami, zgodnie z matematycznym programem. W końcu wybrał rysunek i w 1985 r. przestał tworzyć litografie. Na wystawie przypomnieliśmy dwie litografie z lat 70. – nastrojowe pejzaże z Kaszub, ale pokazaliśmy też dzieło w jego twórczości wyjątkowe, o dojrzewaniu do tego, by zaakceptować świat. Cykl czterech autoportretów (pierwszy pt. „Patrzę na świat"...), identycznych szarych odbitek, wykonanych techniką sitodruku, ale różniących się tym, w jaki sposób dodany jest kolor; w dwóch autor raz zieloną, drugi raz niebieską farbą malował oczy, w dwóch paskiem barwnego – czarnego albo czerwonego – papieru zasłonił oczy.

W tym samym czasie co Kamieński, w Toruniu na UMK studiował grafikę Janusz Popławski; uprawia teraz głównie rysunek, grafikę rzadko, ale jego linoryt z serii „Nekrologi", z portretem księdza Władysława Paciaka, pokazywaliśmy już kilkakrotnie. Młodszy od nich Mirosław Siara studiował malarstwo w warszawskiej ASP, a jako aneks do dyplomu (1980 r.) stworzył grafiki w technikach metalowych, wizyjne, symboliczne, z postaciami w mroku – i dwie z nich przypomniała wystawa.

Nieżyjący już Jerzy Jarzyński (absolwent UMCS) tworzył linoryty abstrakcyjne, wypełnione na ogół swobodnie prowadzonymi liniami – różne materie świata, głównie organiczne (mnie nieco przypominają rysunkiem słoje drzewa); był chyba pierwszym wśród radomian, który otrzymał nagrodę w konkursie „Grafika warszawska" (choć często ciął odbitki i montował inaczej, co jest wbrew regułom rzemiosła). Największa zasługa: był pierwszym z organizatorów pracowni graficznej na radomskiej uczelni.

Dziś na Uniwersytecie Technologiczno-Humanistycznym pracują: Andrzej Brzegowy, absolwent łódzkiej uczelni, uprawiający m.in. linoryt i „pilśnioryt"; wspomniany Michał Kurkowski, jedyny w Radomiu tak konsekwentnie specjalizujący się w technikach metalowych, a także dwaj artyści spośród tworzących grafikę cyfrową, których prace pokazaliśmy na wystawie. Ich twórczość zaliczana jest do nurtu sztuki geometrycznej – dziekan Aleksander Olszewski (po uczelni w Łodzi) i jego dawny student Mariusz Dański (a więc po studiach w Radomiu, co cieszy szczególnie). Udało się prof. Aleksandrowi Olszewskiemu, inicjatorowi tych studiów i wydziału, stworzyć na radomskiej uczelni grono artystów grafików, którzy sami są twórcami i uczą studentów nie tylko „sztuki", ale też rzemiosła – technik graficznych.

Wystawa przypomniała nazwiska i dzieła. Potwierdziła, że istnieje grafika radomska – i jest różnorodna; stworzyli ją artyści kontynuujący tradycje kilku ośrodków. Uczelnia – z pracowniami i programem kształcenia – zapewnia dalsze jej istnienie. A przecież prace nie wszystkich grafików związanych z uczelnią są w zbiorach muzeum. Pedagogiem, profesorem jest też inny twórca druków cyfrowych – Adam Romaniuk z Katowic; na wydziale pracuje kolejna absolwentka studiów w Radomiu, teraz z tytułem doktora, zainteresowana różnymi technikami (zarówno drukiem wklęsłym, płaskim, jak i wypukłym) Katarzyna Pietrzak.

Wystawa: „Kartka papieru dziełem sztuki. Rysunki, grafiki, wycinanki, fotografie", Muzeum Sztuki Współczesnej w Radomiu, 31 marca – 25 maja 2015 r.

Mieczysław Szewczuk

Kurator
Stanisław Zbigniew Kamieński

fot. Stanisław Zbigniew Kamieński

Michał Wójcicki
e-mail: michalxw@gmail.com
Urodził się w 1986 r. w Pionkach. Ukończył Liceum Plastyczne im. Józefa Brandta w Radomiu, gdzie uczył się w latach 2001–2006. Studiował na Wydziale Sztuki Politechniki Radomskiej im. Kazimierza Pułaskiego (obecnie Uniwersytet Technologiczno-Humanistyczny), 2006–2011. Pracę magisterską przygotował w pracowni multimediów i grafiki cyfrowej prof. Aleksandra Olszewskiego.
Mieszka w Pionkach. Uprawia głównie grafikę warsztatową, zawodowo pracuje w firmie w Radomiu zajmującej się projektowaniem i produkcją walizek prezentacyjnych.
Bierze udział w wystawach zbiorowych i konkursach, otrzymał już kilka nagród.

Być może to banalne stwierdzenie, a jednak posłużę się nim w komentarzu do mojej pracy artystycznej – inspiracją do powstawania małych form graficznych i ekslibrisów jest otaczającą mnie rzeczywistość, którą staram się interpretować na swój własny sposób. Ktoś uśmiechnie się pewnie pod nosem albo zaśmieje w głos, zestawiając powyższą deklarację z cyklem Pupy.
Tak się złożyło, że na początku mojej drogi twórczej zainteresowałem się ekslibrisem, choć może było odwrotnie; czy to przypadkiem nie ekslibris zainteresował się mną? W każdym razie zostaliśmy bliskimi znajomymi. Ekslibris (w dosłownym tłumaczeniu – z książek) jest znakiem rozpoznawczym właściciela księgozbioru. Podstawą myślenia o formie takiego znaku jest słowo, wydarzenie, sytuacja, kojarzące się z osobą czy instytucją – posiadaczami zbioru książek. Każda grafika powstająca z taką intencją ma swoją anegdotę, narrację, którą staram się sprowadzić do skrótu myślowego i przetransponować na obraz graficzny. Moje graficzne rozwiązania są i figuratywne, i abstrakcyjne; przedstawienia należące do pierwszej grupy zawierają elementy humorystyczne i groteskowe, czasami przewrotne i mocno przerysowane, oraz nieco surrealistyczne. Dotyczy to również ekslibrisów, które najczęściej mają wymowę żartobliwą czy ironiczną.
Posługuję się takimi technikami graficznymi jak akwaforta, linoryt i druk płaski. Podstawową jednak techniką mojego warsztatu jest akwaforta, ponieważ dzięki niej mogę uzyskać mnogość linii i kształtów, nie tracąc przy tym precyzji i dokładności, które wymagane są przy małej formie graficznej. Stosuję również, głównie w ekslibrisach, linoryt, który, w takiej skali, budzi skojarzenie z pieczątką. Mimo wyraźnego kontrastu, a może właśnie dzięki kontrastowi elementów utworzonych za pomocą rysunku akwafortowego i płaskiej plamy linorytu powstaje, w moim przekonaniu, ciekawa całość, kompozycja przyciągająca wzrok swoją różnorodnością.

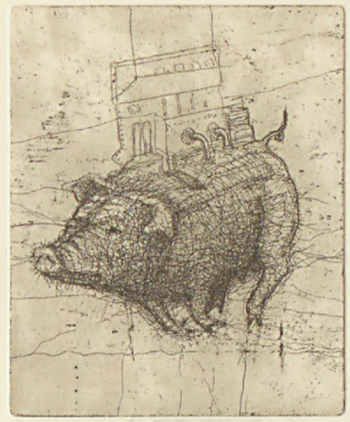

Świnia wyścigowa, 2010
miękki werniks, akwaforta
10,5 x 8,5 cm

Cudzesy, 2011
akwaforta, linoryt
10,4 x 7,4 cm

Przykładowe zastosowanie przekładni ślimakowej (Ekslibris Michała Wójcickiego), 2010
miękki werniks, akwaforta, linoryt, 10,5 x 8,5 cm

Więcej takich maszyn do szycia, 2009,
odprysk, akwaforta, holografia,
14,5 x 10 cm

26 marchewek, 2009,
miękki werniks,
12,5 x 10 cm

Na stronie poprzedniej

Ekslibris Eweliny, 2013
akwaforta, linoryt, druk płaski
16,5 x 4,7 cm

Ekslibris Wiolki, 2013
akwaforta, linoryt
10,4 x 7,4 cm

Ekslibris Wojcieszka, 2014
akwaforta, linoryt
10,4 x 7,4 cm

Ekslibris Artura Wąsowicza,
2012
akwaforta, linoryt, druk płaski
10,4 x 8,4 cm

Lotnik, 2012
akwaforta, linoryt
10,4 x 7,4 cm

Ekslibris lotnika Stanisława,
2012
akwaforta, linoryt, druk płaski,
10,4 x 7,4 cm

Ekslibris Michała Wójcickiego
2012
akwaforta, linoryt, druk płaski
10,4 x 7,4 cm

Jądrobrody, 2010
akwaforta
10,5 x 8,5 cm

Pupa II, 2011
akwaforta, linoryt
10,4 x 7,4 cm

Pupa I, 2011
akwaforta, linoryt
10,4 x 7,4 cm

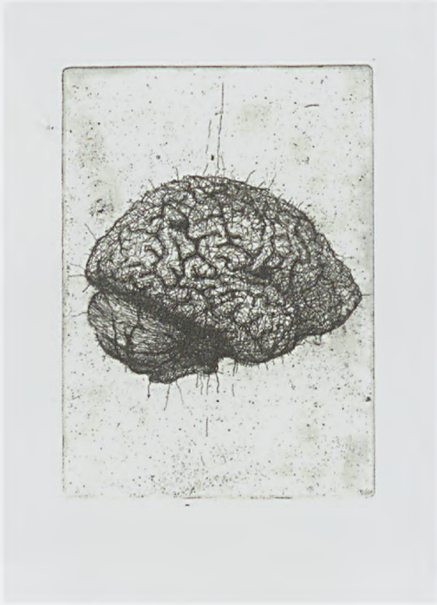

Truta, 2011
akwaforta
9 x 6,5 cm

Motyka, 2011
akwaforta
10 x 7,5 cm

Zabieg leczniczy usprawniający
2009
miękki werniks, akwaforta
14,5 x 10 cm

na następnej stronie

bez tytułu, 2013
miękki werniks, akwaforta, druk płaski
14,7 x 6,4 cm

bez tytułu, 2013
odprysk akwaforta, druk płaski
14,7 x 6,4 cm

bez tytułu, 2013
odprysk, akwaforta, druk płaski
6,4 x 14,7 cm

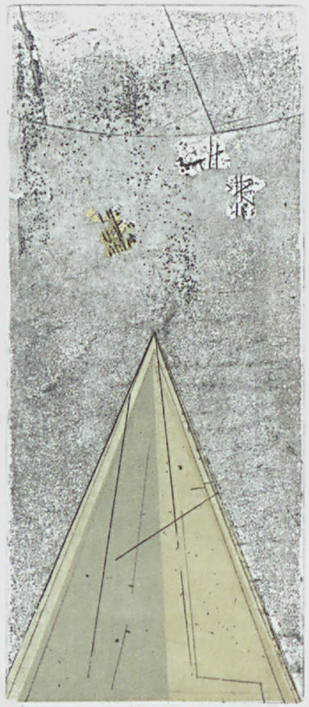

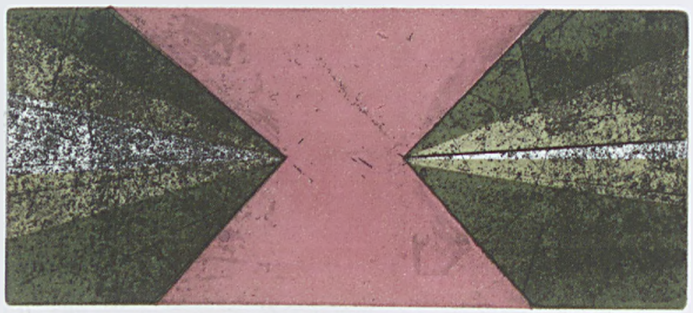

Wielki Wybuch Sztuki

Mariusz Dański

fot. Konrad Czarnecki

Brak mi obiektywizmu, a to z tego powodu, że uległem niezdrowej fascynacji wydarzeniem, które, zwyczajne w fakcie swego zaistnienia, stało się niezwyczajne w mieście R., którego zwyczajny widok budzi mnie każdego ranka. Więc uległem. Fascynacji.

Brak mi obiektywizmu także dlatego, że to wydarzenie odbywało się w miejscu, w którym na co dzień pracuję – na Wydziale Sztuki Uniwersytetu Techniczno-Humanistycznego w Radomiu. I tu pojawia się pewna wątpliwość. W jaki sposób o nim pisać? Jak o wydarzeniu akademickim, czytaj: Zasadniczo? Dostojnie? Poważnie? Dystyngowanie? Tworząc coraz dłuższe ciągi znaków, o których wiem, że nabiorą w końcu jakiegoś znaczenia? A może inaczej. Współcześnie. Krótkimi zdaniami. Sensacyjnie. O gromadce superbohaterów posiadających jakieś komiksowe moce.

Cóż, napiszę ten tekst po swojemu, nieobiektywnie, tak jak ja chcę, pisząc go zaledwie kilka dni po wydarzeniu, w którym i uczestniczyłem, i które w pewnym sensie współorganizowałem. Chcę napisać o piątce młodych ludzi – Jagodzie Figurskiej, Marcie Michalak, Monice Mieszczakowskiej, Oldze Skorży i Dominiku Morgasiu (pomysłodawcy projektu), studentach Wydziału Sztuki, którzy postanowili 26 lutego 2015 r. uruchomić tryby nieco zakurzonej machiny drzemiącej smacznie w kącie. Udało im się, coś uruchomili i nastąpił Wielki Wybuch Sztuki... Tej młodej, nieokiełznanej, zarozumiałej, buntowniczej i bardzo, bardzo innej, od tej, która znajduje uznanie w galeriach, centrach sztuki współczesnej i tym podobnych ośrodkach katalogujących, opisujących i oceniających wszystko to, co według bliżej nieokreślonych reguł staje się „warte" opisania.

Mam wrażenie, że był to najdłuższy i najbardziej naładowany pozytywną energią radomski wernisaż.

Wielki Wybuch Sztuki miał miejsce w „Pentagonie" (budynek, w którym mieści się Wydział Sztuki). Tuż przed godz. 17 tłumy zwiedzających rozpoczynały swoją przygodę ze światem „młodej sztuki" od obowiązkowego przejścia przez „akwarium", które witało zwiedzających cyklem tkanin, by po chwili zderzyć ich z pracą multimedialną rzutowaną na schodach – przechodzący stawali się elementem kompozycyjnym. Po wkroczeniu do tego świata każdy obierał swoją własną ścieżkę, i tak... W wydziałowej

fot. Krzysztof Berezowski

fot. Krzysztof Berezowski

fot. Krzysztof Berezowski

fot. Konrad Czarnecki

fot. Konrad Czarnecki

fot. Krzysztof Berezowski

fot. Krzysztof Berezowski

fot. Krzysztof Berezowski

piwnicy rozgościło się królestwo grafiki, rysunku i fotografii, gdzie uczestnicy zaprezentowali całe bogactwo technologicznych rozwiązań, technik i postaw artystycznych. Parter i klatka schodowa to tkaniny i delikatne wprowadzenie do krainy malarstwa. Piętro to bogactwo koloru. Malarstwo, rysunek, rzeźba, instalacje, animacje i... sala opanowana przez muzyków, tych grających bardziej „elektronicznie" i tych, którzy pod kierunkiem Michała Sołśni wybijali miarowy rytm na bębnach. Budynek tętnił życiem na swój specyficzny, eklektyczny sposób.

A gdzie wybuch? Wszędzie – w roześmianych oczach artystów i zwiedzających, którzy tego konkretnego wieczoru postanowili spotkać się i spróbować poczuć to, czego czasami nie potrafimy zrozumieć. A w najdosłowniejszym znaczeniu tego słowa to w finale, kiedy naprawdę

fantastyczny „fireshow" dała radomska grupa POJebka.

Na zakończenie jeszcze kilka bardzo subiektywnych uwag. Po pierwsze. Nasze miasto potrzebuje takich miejsc i wydarzeń, gdzie muzycy, poeci, pisarze i plastycy będą mieli szansę spotykać się i pokazywać swoje mniej lub bardziej „rewolucyjne" pomysły. Gdzie nie będzie pokazywana wyłącznie sztuka tworzona przez wielkie, zadęte „S", ale także ta, która pewnie i nieudoskonała warsztatowo, ale prawdziwa w swym buncie, chce znaleźć miejsce dla siebie. Potrzeba nam takich miejsc.

PS
Chcę, by jak najczęściej brakowało mi obiektywizmu.

Mariusz Dański

Utwórzmy fundusz dla młodych artystów

Ireneusz Domański

Mam propozycję dla władz naszego miasta, a tak naprawdę dla nas wszystkich, bo wszyscy na tym skorzystamy. Utwórzmy fundusz grantowy dla młodych radomskich twórców. Artystów z różnych dziedzin – plastyków, muzyków, poetów, etc, etc, etc.

Pamiętajmy, mamy w Radomiu szkoły muzyczne, plastyczne, Wydział Sztuki na Uniwersytecie Technologiczno-Humanistycznym. Kształcą się w nich setki uczniów i studentów. Widać ich w tym mieście? Najczęściej narzekamy, że nie. Doliczmy absolwentów uczelni artystycznych, którzy wracają albo mogliby wrócić do Radomia, gdyby ich do tego zachęcić. Są poeci, którzy nie mogą zadebiutować, bo nie ma kto wydać ich utworów.

O co chodzi? Wiadomo, o pieniądze. To one, często niewielkie, zwykle stanowią barierę nie do pokonania dla młodych ludzi, by mogli zaistnieć, zrealizować swoje pomysły, rozwijać się. Tworzyć.

Można to w jakiejś części rozwiązać poprzez właśnie fundusz grantowy. On nie musi być wielki. To kilkanaście, kilkadziesiąt tysięcy złotych rocznie, wydzielonych np. z budżetu wydziału kultury, pod pieczą konkretnego urzędnika, który ma z młodymi twórcami WSPÓŁPRACOWAĆ. Musi być oczywiście jakiś regulamin sięgania po te pieniądze, rozliczania ich, system selekcji projektów, kwalifikacji i kontroli. Ale wszystko to tak skonstruowane, by nie tworzyć kolejnych barier, tym razem biurokratycznych, dla młodych ludzi, którzy z biurokracją sobie nie poradzą. Ona ich wręcz odstrasza i zniechęca.

Istniejący obecnie system konkursów i ubiegania się o dotacje jest dostępny dla instytucji, organizacji pozarządowych, struktur – nazwijmy to – formalnie i prawnie istniejących. W moim pomyśle chodzi o realizację projektów ludzi niezrzeszonych, indywidualnych twórców lub niewielkich grup, raczej jednorazowych, choć nie wykluczałbym cyklicznych działań.

Jestem przekonany, że na utworzeniu takiego funduszu, umożliwiającego młodym artystom realizację ich projektów, skorzystają nie tylko oni sami, ale my wszyscy, miasto. Dlatego namawiam – porozmawiajmy o tym i spróbujmy.

A redakcji „Miesięcznika Prowincjonalnego", ostatniego – obok uniwersyteckiego rocznika „Arteria" – radomskiego pisma traktującego serio sztukę i kulturę, dziękuję za gościnę.

Powrót (Persefony?)

Robert Utkowski

Wróciła. Zawsze wraca. Od lat. Choć ostatnio nie śpieszy się jej. Zwleka, odkłada. Wkurza.

Poręcz schodów w bloku, w którym się wychowałem, gdzieś między Plantami, Borkami a Ustroniem, od lat taka sama, tysiące, miliony dłoni już dawno temu zdarły z niej zielone i niebieskie PCV, którym była pokryta, metalowe balustrady pomalowane na brązowo; zawsze były brązowe, zielone PCV pasowało do nich jak pięść do nosa, widać tylko takie wtedy mieli, zielone i niebieskie, surrealistyczny patchwork, kolaż, element abstrakcyjnej sztuki w bardzo konkretnej rzeczywistości, przedziwne połączenie niebieskiego i zielonego z brązowym kształtujące gust pokoleń, do tego jasnobrązowa lamperia, żółte kaloryfery, coś pięknego, tak sobie myślę z perspektywy czasu, wchodzę tam zawsze z tym samym wrażeniem, że czas zwalnia, staje, wreszcie zaczyna się cofać, widzę rękę CH, która w kaloryferze między pierwszym a drugim piętrem chowa paczkę popularnych, a może sportów, już nie pamiętam dobrze, wzrok też już nie ten i nawet myśli widzę słabiej, CH wyrósł, nie jestem pewny czy dorósł, nie wiem, czy ja dorosłem, znów jest mniej więcej rok 1986, już luźniej i czuć ocieplenie, choć nadal zima trzyma za gardło wszystkich niepokornych, tyle że nas to wtedy niewiele obchodzi, 16 lat, jeszcze nie odkryliśmy, że każda akcja wywołuje reakcję, że uderz w stół, a dostaniesz nożycami, świat się mieści w rurach od ciepłego ogrzewania, które kładą w ulicy obok, w żeberkach kaloryfera, w piwnicy, w której z czerwonych i niebieskich diod robimy napis SEX, nie bardzo wiedząc, o co chodzi, ale wierząc, że w ten sposób zwiększamy swoje szanse, piwnica jest zimna, ciemna, miga SEX, śpiewa Perfect, pierwsze gitarowe chwyty, nieszczęście z tym położeniem między osiedlami, uczymy się lawirować, żeby nie zebrać w zęby raz od tych, raz od tamtych, my to raptem jeden blok, za mało, żeby wystawić armię, nie ma szans, krótkie starcie z Cyganami gdzieś przy torach, w którym polegliśmy mężnie, i o którym do śmierci nikomu ani słowa, w tym czasie budują Nowe Planty, miasto się rozwija, jak czarna dziura zasysa okolicę, nowi nie mają łatwo, ustawki przy szkole, trzeba to przepracować, przerobić, zbudować wspólną story, potem już jest OK, już razem, zbratani, jakby te naderwane kurtki i urwane guziki zasypały doły różnic, jakby to był chrzest, sprawdzenie, czy się nadają, przyjęcie do swojej bandy, namaszczenie, coś o tym wie nauczyciel pijak nazywany Kartoflem, wrzucony tam po to, żeby obserwować, bo po cóż innego, żadnych kwalifikacji, czerwony nos, czerwony, czerwony, wszyscy wiedzą, wszyscy, my po latach też, ale wtedy wiemy tylko tyle, że to kutas, kutafon, zwykła świnia, i ten drugi, mały, drobny, dobrotliwy, świetny facet, nazywamy go Plastuś, Plastuś ma mądre, dobre oczy, ma wiedzę, pokazuje nam, jak delikatne uderzenie w strunę sprawia, że budzą się fale i rozchodzą się coraz szerzej, jesteśmy struną, którą trąca, wibrujemy, za chwilę wyskoczymy i rozejdziemy się szeroko, choć nie za bardzo, nie wszyscy, RG umrze z przepicia na początku XXI w., Baca się powiesi, dziewczyny znajdą mężów i zapomną o nas, będziemy zmiętym petem, ciemną materią, jakimś ważnym nikim, więc teraz, kiedy się śnią podróże, to tak, jakbym się chciał wyrwać z tego świata rur i zielonego PCV, zimnych piwnic i papierosów chowanych na schodowej klatce, choć wcale bym się nie chciał wyrwać, zapachy i smaki przemawiają

rys. m@d 2015

wciąż z tą samą intensywnością, kolory kręcą w głowie, jest rok 1986, może dalej i jest tylko przyszłość i pewność, że już zawsze tak będzie, że nic się nie zmieni, że jest dobrze po prostu, że ona wróci, bo zawsze wraca i rozkwitnie, wybuchnie feerią świateł, CH znów będzie skakał przez brudny potok i lądował po pas w mule, liście łopianu tego nie zetrą z podrabianych dżinsów made in PRL, że znów gdzieś przy torach zgubię klucze i to będzie jedyny powód do zmartwień, RM wejdzie na słup, osa użądli go w oko, pączki za kompot, letnie półkolonie, mój dziecięcy czyściec, jak to wszystko opisać?

Robert Utkowski

fot. internet

Persefona

Grzegorz Sasin

W „Światłach rampy" Chaplin na pełen rozpaczy krzyk dziewczyny: „A sens życia!" odpowiada z uśmiechem, że „Życie to pragnienie". Pragnienie odnalezienia się w ujęciu kamery, która wydobywa aktora z cienia, a więc poniekąd z nicości, na światło dnia. Jak Hades, który na dziewięć miesięcy w roku wyzwalał Persefonę z roli bogini śmierci, by, wraz ze swoją matką Demeter, wyzwalała świat z zimowej szarości, by wszystkimi porankami świata eksplodowała wiosna, życie. Tak też kamera wydobywa z nieistnienia lśniące gwiazdy kina, jak Marlena Dietrich, jak Greta Garbo, które ukazują zdumionym oczom widza, że kino też ma boginie, bez których nie może istnieć. Jak nie może istnieć bez pomysłów, inspiracji, oryginalności. Od wyjścia poza oczywistości, poza życie, w którym nie ma życia, by otworzyć oczy na skandal bytu. Bo, jak to ujął Jean Baudrillard: „Skandal w naszych czasach polega na kwestionowaniu nie wartości, lecz zasady realności". I wielu filmowców próbuje tę zasadę realności na nowo określić, ukazać oczom widza niczym Persefona ukazuje kolory wiosny. Dlatego też tych prawdziwych realistów, smakoszy życia nazywa się skandalistami, które to miano przylgnęło również do Małgorzaty Szumowskiej, bo jej obsesją jest właśnie życie, właśnie materia, tj. ciało, struktura cielesna człowieka. A w polskim kinie, takim pełnym zawstydzenia, takim pruderyjnym, jest to nowość, ba nowa jakość. I to nie tylko w kinie, bo przecież wystarczy rzut oka na całość kultury polskiej, a okaże się, że istnieje ona poza rzeczywistością, poza ciałem. Jest niematerialna. Czytając historyków obyczajów, socjologów, antropologów polskich – Kolberga, Bystronia, Kuchowicza, można odnieść wrażenie, że opisywani przez nich chłopi egzystują w nierealnych światach moralnych baśni. Że są wszyscy bohaterami ballady „Romantyczność" Adama Mickiewicza, naczelnego rzecznika antymaterii, wroga ciała, za którym poszły rzesze twórców. Tylko Szumowska się wyłamała. Jeśli już za kimś poszła, to za Jędrzejem Kitowiczem, od jego *Opisu obyczajów* wyszła, gdzie Kitowicz opisuje rzeczywistość ludzką, taką, jaka jest, a nie taką, jak być powinna.

Szumowska zaczyna swoją rozświetlającą drogę Persefony od źródła, czyli od płodu, od

brzucha matki w filmie „Ono", czyli dziecko, a właściwie dziewczynka, np. Małgośka Szumowska. Jest to opowieść o ciężarnej dziewczynie, która opowiada jeszcze nienarodzonemu dziecku o życiu, o kolorowym świecie, w którym przyjdzie mu żyć, gdy już ujrzy go własnymi oczami. Ale bajdy szykującej się do roli matki bohaterki filmu mają aspekt takiej rzeczywistości z sufitu. Taki ogląd świata z pozycji konwencji, która obowiązuje tu i teraz w Polsce za sprawą wychowania rodzicielskiego i szkolnego, które to wychowanie bierze za wzór powierzchnię świata bijącą w oczy z telewizorów, reklam, mądrości króla Ćwieczka, wygłaszane przez nawiedzonych polityków, którzy przecież żyją w realności baśni, jak to swego czasu określił znawca tematu przecież – Vaclav Havel. Szumowska kpi z tych konwencji, klisz. Dobrze jest dawać życie, ale nie można go od razu zamykać w skrzynce banału, w szarości pozornie olśniewającej przestrzeni piekła, w którym znalazła się Persefona, wybierając niby najpiękniejszy acz trujący kwiat, zamiast sycić się tulipanami, goździkami, przebiśniegami, czyli wszystkimi barwami budzącej się do życia natury.

A natura pojmowana w wizjerze kamery ma być właśnie materią, ciałem, ale ciałem smakującym całokształt sfery życia poprzez oczy, ręce, poprzez smak i dotyk, które łączą się z umysłem, z duchem w pełnowymiarowy organizm. Stają się jednością, jak matka i dziecko w „Ono", jak profesor w „Portrecie rodzinnym we wnętrzu" Viscontiego, gdzie jednym pociągnięciem kamery (niczym pędzlem) reżyser pokazuje, że życie nie może być wykluczeniem czegoś, bo inaczej nie będzie pełnią. Bohater filmu Viscontiego smakuje życie łykami, łykami ciekawości. Nie łapie go łapczywie, jak pozostali bohaterowie filmu, bo życie jest sztuką. Podobnie zachowują się bohaterki „Sponsoringu" Szumowskiej.

Ten film opuszcza bezcielesność na rzecz szczerej cielesności, na rzecz rzetelnego opisu poruszeń ciała. Jego pragnień, jego przypływów i odpływów. Ten film to opowieść o trzech kobietach, dla których przewodnikiem po meandrach świata jest ciało, ich ciało. Dla dziennikarki (Juliette Binoche) jest odkrywaniem ciała w ogóle, poprzez ciała opisywanych przez nią studentek – prostytutek, poprzez ich wrażenia o bliskości ciał w akcie seksualnym, nawet tym sponsorowanym, nawet w relacji towar–kupiec. Zaskakuje ją, że obie dziewczyny nie traktują bynajmniej swojej profesji bezosobowo. Raczej uważają się za swoiste gasicielki samotności mężczyzn, za psychoanalityczki, które zresztą same poddają się swoistej autoanalizie. Bo bliskość cielesna, to otarcie się naskórka o naskórek (a tym wszak jest miłość według XVIII-wiecznych libertynów), wiedzie do chwilowego spełnienia, do carpe diem z kimś, nie tylko z samym sobą. Obie dziewczyny to eksploratorki na nowo odkrywanych starych lądów. Z tym że Francuzka (Anais Demoustier) nie tyle szuka, nie tyle obserwuje, ile fascynuje się samym aktem erotycznym, fascynuje się sobą, tj. tym, że zapomina, że jej profesja nie wynika z miłości, że chwila erotycznego uniesienia, chwila rozkoszy kończy się, gdy klient wciągnie spodnie i uda się na łono rodziny. A ona rzeczywiście angażuje się jak dziewczę zauroczone swoim kochankiem: ona w momencie spełnienia kocha! Właśnie – rozkosz i spełnienie, mimo że prostytucja jest sferą cokolwiek rzeczową. Ale nie dla bohaterek „Sponsoringu". Druga z dziewczyn, Polka (Joanna Kulig), jest bardziej psychoanalityczką, bo interesuje się ciałem jako wyrazem pragnień ducha. Wyobrażeń erotycznych, które za jej pośrednictwem realizują klienci. Ona sama zresztą też, bo okazuje się, że ciekawość wszelkiej perwersji i niejaka arogancja władzy, jaką sprawuje nad swoimi przygodnymi, płatnymi kochankami, może być takim samym wewnętrznym spełnieniem, rozkoszą, uniesieniem, jakie osiąga jej koleżanka po fachu, gdy wyobraża sobie, że płynie na fali miłosnej ekstazy. Ciało wspiera umysł, a umysł ciało. Bo to ciało przeżywa przygody ducha. Negacja ciała wiedzie do destrukcji. Poza ciało nie można wyjść. W ogóle nie warto wychodzić. O czym przekonują się bohaterowie ostatniego filmu Małgorzaty Szumowskiej „Body/Ciało", w którym obserwujemy przygody ciała, które postanowiło egzystować wyłącznie w powietrzu, poza materią, która podobno jest złudzeniem, bo przecież gdy jestem sam, to nie ma nikogo, a więc nikt nie istnieje, a skoro nikt, to ja też nie istnieję. Taki swoisty solipsyzm, którego bohaterowie filmu nie potrafią nazwać. Wolą destrukcję, np. poprzez anoreksję, czyli wygłodzenie się z nienawiści do ojca i z miłości do zmarłej matki, co kultywuje Olga (Justyna Suwała). Jej ciało przeszkadza, jest jej zbędne, tak jak jest też zbędne dla jej ojca (Janusz Gajos), który jest prokuratorem i z racji zawodu widział setki ciał w postaci trupów. Ma więc do ciała ludzkiego stosunek lekceważący, pogardliwy: ciało to martwy, kłopotliwy przedmiot. Także terapeutka Anna (Maja Ostaszewska) nie jest oswojona ze swoim ciałem. Ukrywa je pod koszmarnymi ubraniami, jeśli w ogóle można to co nosi uznać za ubranie. Bo musi nosić w sobie i na sobie zaświaty, gdzie tak nielubiane przez prokuratora trupy egzystują w innym wymiarze, a terapeutka Anna wdaje się z nimi w pogawędki. Z drugiej strony patrzy ona na siebie samą jakby z boku, z zewnątrz, z ironią. Te medialne kontakty z duchami to też terapia, próba odnalezienia równowagi wewnętrznej, bo inaczej nie wyprowadzi Olgi z anoreksji, a siebie samej z nierzeczywistości, w jakiej jest pogrążona. A to właśnie ciało pozwala odnaleźć się w świecie. To ciało przywraca życiu właściwe proporcje. Bez niego człowiek spada z równoważni bytu. Wszak ciało to nasza ekspresja, co wyraża dobitnie taniec starej kobiety (Ewa Dałkowska), gdy ciało, stare przecież, staje się piękne, zmysłowe. Staje się witalnym obrazem życia tu i teraz. Jego afirmacją. Bo przecież pragnienie Demeter, by mieć przy sobie żywą, rozszczebiotaną Persefonę jest życiem, które jest pragnieniem, jak chciał Chaplin, gdyż sama pamięć, duchy zmarłych nie wystarczą. Stąd nie można istnieć poza sferą światła, i tego w życiu, i tego na planie filmowym, w filmie, gdy kamera wydobywa ciała i dusze z zapomnienia. Wprowadza w obieg kultury – od premiery do premiery. Przypomina na nowo to, co zdawałoby się jest już martwe: ciało.

fot. internet

Justyna Suwała w filmie Małgorzaty Szumowskiej „Body/Ciało"

Anita Ekberg schodzi z tabloidu i kusi mężczyznę w noweli „Kuszenie doktora Antoniego". Anita Ekberg kąpie się w fontannie di Trevi w „Słodkim życiu" jako erotyczny elektron wychwycony przez Felliniego. Jako ciało, czyli Persefona, wieczna wiosna życia, która jest także cząstką kina w różnych jego aspektach. I gwiaździstych w oczach aktorek, i inspirujących w rękach i wizjach reżyserów. Persefona w kinie wciąż się objawia, budzi do życia, jak w przypadku filmów i postaci Małgorzaty Szumowskiej.

Grzegorz Sasin

Miłość krucha jak szkło.
„Szklana menażeria" Tennessee Williamsa

Krystyna Kasińska

Wprawdzie trudno nie zgodzić się z opinią reżyser Katarzyny Deszcz, nie raz pracującej w radomskim teatrze, że ma on nie tylko bawić, ale czasem także zmuszać widza do refleksji, nawet gorzkich, ale premierę dramatu o nieumiejętności kochania w walentynki uważam za co najmniej nietuzinkowy pomysł.

Nie pamiętam, czy w latach 60. ub. wieku było mniej dysfunkcyjnych rodzin, czy może temat wstydliwie zamiatano pod dywan, ale dziś wydaje się boleśnie aktualny. Tennessee Williams w „Szklanej menażerii" opowiada o rodzinie, nie bałabym się nawet powiedzieć, ocierającej się o patologię; często słyszy się o tym w telewizji i czyta nie tylko w bulwarowej prasie. Na wszelki wypadek przed radomską premierą sztuki Williamsa (w nowym tłumaczeniu Jacka Poniedziałka), obejrzałam przedstawienie Jerzego Antczaka z 1963 r. Niestety, po latach spektakl Teatru Telewizji, choć w doborowej obsadzie, wydał mi się nijaki. Obronił się tylko Władysław Kowalski w roli Toma, syna Amandy – narrator opowieści. Nic dziwnego, że wzrosła moja ciekawość naszą inscenizacją, choć od obejrzenia „Princess Sharon", którą w 2012 r. przywiozła z Londynu na jeden z Festiwali Gombrowiczowskich Katarzyna Deszcz, mam zaufanie do jej scenicznych wizji. I za każdym razem z zainteresowaniem oczekuję ich realizacji na scenie. Teraz z czystym sumieniem mogę polecić „Szklaną menażerię" w reżyserii Katarzyny Deszcz widzom, którzy oczekują od teatru nie tylko rozrywki.

Pieczę nad stadłem dzierży Amanda, kobieta w sile wieku, której mąż wybrał wolność suto zakrapianą alkoholem. Teraz odchowane w rozbitym domu dorosłe pociechy próbują sprostać życiu i wymaganiom zaborczej rodzicielki. Tom pracuje w pakowalni obuwia i boi się utraty tej kiepsko płatnej pracy. Zajęcie go raczej nuży, woli ukradkiem pisywać wiersze w ubikacji (stąd ksywka „Szekspir") oraz marzyć o podróżach po świecie. Pracować jednak musi, by utrzymać dom. Matka to – nazwalibyśmy dziś – telemarketerka, ciut nachalna i obcesowa wobec klientów, więc na ich nadmiar narzekać nie może. No i jest jeszcze siostra Laura. Nieufna, patologicznie nieśmiała dziewczyna z lekką niepełnosprawnością; nie chce pracować i całą uwagę skupia na kolekcji szklanych zwierzątek. Kocha wprawdzie po swojemu matkę oraz brata, lecz kiedy myśli o prawdziwej miłości, wraca wspomnieniami do szkolnych lat i do Jima, w którym się ukradkiem durzyła, bo był przystojny i miły dla niej.

Matka, zaborczo kochająca wyrośnięte latorośle, wije się między nimi bezradnie. Jest apodyktyczna, nie potrafi okazać dzieciom matczynego ciepła, bo paraliżuje ją lęk przed krachem kruchej stabilizacji. Chciałaby lepszej pracy dla syna, choć podejrzewa go (słusznie) o topienie rozterek w alkoholu, jak to robił ojciec. Marzy, by Laura przestała wreszcie bać się ludzi, znalazła dobrą pracę, a przede wszystkim mężczyznę, który ją pokocha i zdejmie z matczynych ramion ciężar odpowiedzialności za córkę. Niestety, życie nie chce układać się jak w drukowanych w odcinkach romansidłach z babskich czasopism. Katastrofa rodzinna więc nadchodzi i okazuje się bolesna.

fot. archiwum Teatru Powszechnego w Radomiu

D. Dolecka w roli Amandy i M. Kitliński w roli Jima

Trzeba przyznać, że poprowadzenie ról przez Katarzynę Deszcz jest interesujące, choć czasem zaskakuje. Zacznę od Amandy, którą gra Danuta Dolecka. Aktorka ma ostatnio szczęście do reżyserów, którzy obsadzają ją w trudnych, wymagających dużych umiejętności zawodowych rolach. I za każdym razem Dolecka wychodzi z takich prób obronną ręką (obie kreacje w inscenizacjach Janusza Wiśniewskiego, ale też rola w komediowej „Pierwszej młodości"). Niestety, za dużo sobie nie pogra, bo z wyjątkiem „Pierwszej młodości" pozostałe spektakle mają nikłą szansę na konkurowanie z „Szalonymi nożyczkami", „Kolacją dla głupca", a zwłaszcza z musicalem „Cabaret", który wchodzi na afisz w marcu. Szkoda, bo rola Amandy jest kolejną dobrą rolą aktorki, choć tej postaci polubić nie sposób. Jest okropną matką, okropnym babonem w ciągłych pretensjach, pazernie zabiegającym o uczucia bliskich, ale też znakomicie zna tajniki autokreacji (scena tworzenia „aury" przed i w trakcie kolacji z przyjacielem syna, zięciem in spe). Amanda jest oczywiście przekonana o słuszności swoich metod wychowawczych, skoro dyktuje je miłość do dzieci. A przypuszczenia, że jest to pokręcone uczucie, nawet do siebie nie dopuszcza. I załamuje się, kiedy wszystko się zawala. Oczywiście, na krótko. To niesamowita scena. Nie podejrzewałam Danuty Doleckiej o taką ekspresję sceniczną. Kiedy dociera do Amandy, że Tom rzuca pracę i dom, a Laura znów nie ma towarzysza życia, choć w sercu matki tliła się taka nadzieja, z ust Amandy – Doleckiej wyrywa się śmiech, jakiś trudny do opisania „koktajl" dźwięków – połączenie szlochu z wyciem. Miałam wrażenie, że patrzę na wilczycę, której ktoś zniszczył właśnie cały miot szczeniąt.

Całkiem nieźle radzi sobie także teatralna młodzież, występująca na naszej scenie gościnnie. Rolę Laury (Maja Luxenberg) poprowadzono tak, że ma się wątpliwości, czy to

złamana chorobą krucha osóbka, czy raczej egocentryczne pannisko, które chce wymusić zainteresowanie bliskich, by nieustannie znajdować się w centrum rodzinnego życia. Jest taka bardzo pomysłowa i świetnie wygrana scena: Laura, przebrana przez matkę na kolację z potencjalnym kandydatem na męża, którym okazuje się szkolna miłość, dostaje napadu histerii, w trakcie którego prawie niszczy na sobie ubranie i drze w strzępy rajstopy. A za chwilę opowiada z czułością o swojej szklanej menażerii.

Tom (Antoni Paradowski) wydaje się jedynym normalnym członkiem rodziny. Tyle że jest za słaby, aby stawić czoła życiu. Rozdarty między marzeniami i rzeczywistością, topi rozterki w alkoholu i bezskutecznie zabiega o zrozumienie oraz miłość. Stąd zapewne niejednoznaczna scena szukania ukojenia w ramionach siostry. Powściągliwość w doborze przez aktora środków wyrazu sprawia, że jedynie on może budzić współczucie.

Wydawać by się mogło, że najmniejsze pole do popisu ma Michał Kitliński (Jim). Pewnie dlatego akceptuje się tę postać, że aktor prowadzi rolę w wyważony sposób. Bez trudu wierzy się więc w jego życzliwość dla co najmniej dziwnej Laury, w nieskrywaną chęć, by jej pomóc, a przede wszystkim w grę fair wobec dziewczyny oraz w sympatię dla Toma i jego niezbyt realnych planów na dalsze życie. Wiarygodna staje się także przychylność dla pani domu oraz tolerancja dla jej dziwacznych pomysłów na życie.

Warta uwagi jest oprawa spektaklu – oszczędna scenografia, kostiumy i projekcje wideo przygotowane przez Andrzeja Sadowskiego (także znanego z reżyserskich realizacji na naszej scenie). Najbardziej podobał mi się pomysł na kolekcję zwierzątek rzeźbioną w piasku oraz na projekcje wideo tak ustawione, że w wielu momentach twarze bohaterów, podobnie jak losy postaci, przełamują się na sąsiadujących ze sobą płaszczyznach.

Spokojnie można polecić „Szklaną menażerię" wyreżyserowaną przez Katarzynę Deszcz, choć w optymistycznym nastroju z teatru raczej się wyjść nie da.

W trosce o zyski od lat karmi się radomskiego widza przede wszystkim tekstami lekkimi (czasem usiłując wmówić, że zawierają istotne przesłanie), więc do naszego teatru chadza się z ochotą – nawet po wielekroć na tę samą farsę czy komedię. Nie dziwię się. Świat realny jest wystarczająco ponury, zaś lekki repertuar – jak każdy towar, który chce się sprzedać – potrzebuje jedynie dobrej reklamy. Taki mamy klimat również w kulturze.

Gorzej wiedzie się sztukom ambitnym. Po pierwsze, należy mieć aktorów, którzy potrafią sprostać różnorodnym warsztatowym wyzwaniom, z czym w Radomiu bywa różnie. Po drugie, mają ciut słabszą reklamę i są, jakby wstydliwie, umieszczane w repertuarze rzadko. Ale ja wciąż mam nadzieję, że liczba osób szukających w teatrze nie tylko rozrywki nie jest mała.

Za to na Międzynarodowy Dzień Teatru przygotowano kolejną lżejszą premierę. Jak niesie plotka, musical „Cabaret", znany ze świetnej muzyki i znakomitej kreacji Lizy Minnelli, zrobiono z rzadkim w naszym teatrze rozmachem.

Krystyna Kasińska

Teatr Powszechny im. Jana Kochanowskiego w Radomiu. Tennessee Williams „Szklana menażeria" w przekładzie Jacka Poniedziałka. Reżyseria: Katarzyna Deszcz. Scenografia, kostiumy, projekcje wideo: Andrzej Sadowski. Muzyka: Krzysztof Suchodolski. Światła: Tomasz Świątkowski. Premiera 14 lutego 2015 r. na Scenie Kameralnej.

Namiętność myślenia w teatrze. „Rzecz o banalności miłości" Savyon Liebrecht

Martyna Bielińska

Na początku mojej współpracy z „Miesięcznikiem Prowincjonalnym" zostałam zapytana o warte polecenia warszawskie spektakle teatralne. „Rzecz o banalności miłości" to moja odpowiedź, którą teraz próbuję pogłębić. Tytuł sztuki jest nieco zwodniczy. Oczywiste nawiązanie do dzieła Hannah Arendt nie wyczerpuje tropów interpretacyjnych, a historia miłości Hannah Arendt i Martina Heideggera – dwojga największych myślicieli XX w. – intryguje nie tylko ze względu na wzajemną fascynację nieprzeciętnych umysłów.

Dla autorki sztuki Savyon Liebrecht opowieść o kochankach filozofach jest pretekstem do analizy fenomenu przywiązania niemieckich Żydów do kultury niemieckiej, już po doświadczeniu Holocaustu. Bo choć od początku uczuciowa relacja studentki Arendt z profesorem Heideggerem miała posmak miłości zakazanej, zważywszy na obyczaje obowiązujące w połowie lat 20. ubiegłego stulecia, to największe kontrowersje rodzi ciągłość tej zażyłości, już po II wojnie światowej. Długoletnia relacja Arendt – niemieckiej Żydówki z Heideggerem – członkiem NSDAP, który otwarcie popierał Hitlera i do końca swoich dni nie przeprosił za ideologiczne uwikłanie, kładzie się cieniem na jej biografii.

Dla reżysera Wawrzyńca Kostrzewskiego kluczowym elementem była praca na tekście Liebrecht, który ostatecznie okazał się być pretekstem do rozważań o znaczeniu przeszłości. Za motto tej inscenizacji mogłaby posłużyć

fot. Katarzyna Chmura-Ciegiełkowska

Halina Skoczyńska jako Hannah Arendt

fot. Katarzyna Chmura-Ciegiełkowska

Halina Skoczyńska jako Hannah Arendt oraz Adam Ferency jako Martin Heidegger

słynna fraza Arendt, która mimo, że przylgnęła do niej jak skóra do ciała, została zaczerpnięta od Williama Faulknera: „Przeszłość nigdy nie umiera. Nie jest nawet przeszłością". Reżyser zmienił kolejność scen, zrezygnował z niektórych wątków, a moim zdaniem najważniejsze są dodane teksty, które dopełniają postać Martina Heideggera (w tej roli Adam Ferency). Dopisana scena wykładu Heideggera poruszającego podstawowe zagadnienia z *Bycia i czasu* pozwala na poszerzenie kontekstu filozoficznego oraz ukazanie magnetyzmu jego myśli. Poruszający jest moment kulminacyjny spektaklu z przemową rektorską Heideggera do studentów niemieckich „Samoutwierdzenie się niemieckiego uniwersytetu" uzupełnioną o fragmenty z innych ideologicznych prelekcji myśliciela. Gdy Adam Ferency podnosi dłoń i wykrzykuje „Heil Hitler!", scenę zalewa mrok, a niepozorny dotąd regał z książkami poprzez grę światła zamienia się w bydlęcy wagon. Mateusz Weber (w podwójnej roli: Rafaela, przyjaciela Arendt z młodości oraz Michaela, który przeprowadza z nią wywiad) wykonuje przejmująca żydowską pieśń, a jej ostatnie takty zmieniają się w stukot pociągu prowadzącego do krematoriów. Ta mająca wymiar symboliczny scena najdobitniej obrazuje bardzo umiejętne wykorzystanie środków teatralnych w kameralnej przestrzeni Sceny im. H. Mikołajskiej.

Wawrzyniec Kostrzewski, reżyserując sztukę Savyon Liebrecht w warszawskim Teatrze Dramatycznym, pokazał Hannah Arendt (w tej roli Halina Skoczyńska) jako cenioną, wpływową intelektualistkę u kresu życia, która dokonuje podróży w przeszłość, konfrontując się ze wspomnieniami. Niewielką scenę zapełniły stosy książek, teczek i segregatorów, pomiędzy którymi krążą aktorzy. Pośród spiętrzonych woluminów ustawiono na środku fotel oraz popielniczkę (papieros był nieodłącznym atrybutem myślicielki, aż do momentu choroby). Stosy książek to zawsze świat intelektualisty, ale w tym przypadku także lustro umysłu bohaterki, wypełnionego lekturami z rozlicznych dziedzin, nie wyłączając literatury pięknej, na którą Arendt wykazywała szczególną wrażliwość. Tak przedstawia się nowojorskie mieszkanie profesor Hannah Arendt, do którego w 1975 r. przychodzi przeprowadzić wywiad rzekomy przedstawiciel Uniwersytetu w Jerozolimie Michael Ben Szaked. To jeden z planów czasowych dramatu, gdyż sztuka Savyon Liebrecht ma wielopłaszczyznową, retrospektywną strukturę, stanowiąc spore wyzwanie dla reżysera i scenografa, przy środkach, jakimi dysponuje teatr. Stąd pomysł, by wątki z przeszłości miały charakter wspomnień, i decyzja o odejściu od realizmu, rezygnacji z sumiennego odwzorowywania realiów epoki na rzecz umowności przestrzeni scenicznej. W warstwie wizualnej podróż w głąb pamięci zostaje przedstawiona za pomocą światła – wspomnienia wynurzają się z mroku. Po wyjściu z teatru na długo w głowie pozostał mi obraz efektownej w swej prostocie scenografii stworzonej przez Martę Dąbrowską-Okrasko.

Jednakże nie tylko forma przedstawienia i praca reżysera są czynnikami składającymi się na interesującą całość. Na uznanie zasługuje cały zespół aktorski. Halina Skoczyńska przedstawiła Arendt w sposób wielowymiarowy. Jest na scenie przez cały spektakl, pokazując bardzo różne stany emocjonalne, które towarzyszą podróży w przeszłość. Jako rzeczowa i dystyngowana pani profesor jasno wykłada złożone myśli zawarte w książce o Eichmannie. Warto przyjrzeć się jej oczom podczas retrospekcji, by zobaczyć, że odżywają w niej wszystkie uczucia – miłość, trwoga oraz gorycz rozczarowania. Retrospekcje sięgają czasów studiów na Uniwersytecie w Marburgu, ukazując dzieje romansu z Heideggerem, ale co równie istotne – początek samodzielnej drogi myśli Arendt. Jednak najdobitniej zostaje poruszony wątek napięcia, jakie rodzi dojście Hitlera do władzy oraz zagłada Żydów, których Arendt jest przedstawicielką. To właśnie z refleksji nad naturą zła zrodziły się jej dwa najsłynniejsze dzieła *Korzenie totalitaryzmu* oraz *Eichmann w Jerozolimie. Rzecz o banalności zła*, stanowiące tkankę intelektualną dramatu Liebrecht.

W grze Adama Ferencego odzwierciedla się jego bardzo negatywny stosunek do Heideggera, który aktor stara się poskromić, zabarwić czułym tonem, troskliwością, ale zdecydowanie bardziej przekonujące w jego interpretacji jest demoniczne oblicze zniewolonego umysłu. Dojrzałym, uznanym aktorom (Skoczyńskiej i Ferencemu) towarzyszą dopiero rozpoczynający artystyczną drogę debiutanci: bardzo żarliwa Martyna Kowalik jako młoda Hannah oraz Mateusz Weber, których ogląda się bez poczucia rażącej dysproporcji umiejętności, a z wrażeniem rzeczywistego partnerstwa na scenie.

Wydźwięk spektaklu Wawrzyńca Kostrzewskiego wskazuje raczej na niebanalność miłości, która jest w stanie przetrwać mimo niesłychanych przeciwności i krzywd. Nawet największy umysł pozostaje irracjonalny i lekkomyślny wobec fenomenu miłości. Jednak w przypadku inscenizacji oglądanej w Teatrze Dramatycznym wątek romansowy zostaje przyćmiony problemem, który Hannah Arendt nazywała *deformation professionelle*, objawiający się u intelektualistów przyznawaniem sobie prawa do nieomylności. Jest to także studium samotności filozofów – największą ich namiętnością jest myślenie, prawdziwe filozofowanie, którego Arendt nauczyła się od Heideggera.

Martyna Bielińska

Teatr Dramatyczny m.st. Warszawy. Savyon Liebrecht „Rzecz o banalności miłości" w przekładzie Michała Sobelmana. Reżyseria: Wawrzyniec Kostrzewski. Scenografia i kostiumy: Marta Dąbrowska-Okrasko. Muzyka: Piotr Łabonarski. Premiera: 10 stycznia 2014 r. Scena im. H. Mikołajskiej.

Martyna Bielińska. Urodzona w Warszawie, gdzie ukończyła studia z wiedzy o teatrze na Akademii Teatralnej oraz filozofię w Instytucie Filozofii Uniwersytetu Warszawskiego. Publikowała m. in. w „Scenie" oraz „Miesięczniku Literackim AKANT". Obecnie mieszka w Radomiu.

fot. Marcin Lutka

Przegląd muzyki austriackiej w ramach Festiwalu Kontrolowanego

Krzysztof Majerczyk

Austria i Wiedeń odegrały i odgrywają do dziś znaczącą rolę w rozwoju muzyki: wspaniałe sceny operowe i sale koncertowe, słynne orkiestry, szkoły muzyczne oraz niezliczone rzesze dawnych i współczesnych artystów. W Austrii tworzyło wielu znamienitych kompozytorów: Haydn, Mozart, L. van Beethoven, Schubert, Bruckner, Mahler czy też hamburczyk J. Brahms, tam ponad 100 lat temu kształtowała się tzw. nowa muzyka za sprawą: Arnolda Schönberga, Albana Berga i Antona Weberna, tam także tworzą współcześni kompozytorzy – spadkobiercy tej bogatej spuścizny muzycznej. Właśnie muzyka austriacka XX i XXI w. stała się wiodącym tematem tegorocznego Festiwalu Kontrolowanego, którego trzecią już edycję zorganizował Zespół Szkół Muzycznych im. Oskara Kolberga w Radomiu. Przedsięwzięciu partnerowali: Austriackie Forum Kultury, obchodzące jubileusz 50-lecia działalności w Polsce, oraz fundacja Harmonie i Hałasy.

Tradycyjnie już Festiwal Kontrolowany w Radomiu połączył w programie koncertów i warsztatów muzyki współczesnej uczniów szkoły muzycznej z zawodowymi muzykami. Spotkanie uczniów z doświadczoną skrzypaczką Anną Kwiatkowską – gościem festiwalu – stało się nie tylko okazją do doskonalenia techniki gry, ale również, dla niektórych, stanowiło pewnego rodzaju przełom w poznawaniu tego instrumentu.

Wrażeń artystycznych dostarczył koncert muzyki austriackiej XX i XXI w., w którym ciekawie zestawiono nieżyjących już klasyków współczesności: Antona Weberna i Hannsa Eislera z kompozytorami urodzonymi w latach 50. i 60. XX w. W pierwszej części koncertu wystąpiły zespoły radomskiej szkoły muzycznej: Chór Dziecięcy „Cantus Angelus" pod kierownictwem Marii Wrzesińskiej, Zespół Perkusyjny pod kierownictwem Piotra Glińskiego i Orkiestra Symfoniczna pod kierownictwem Przemysława Zycha. Na wstępie usłyszeliśmy kompilację utworów: chór zaśpiewał piosenki ze zbioru Woodburry-Liederbüchlein (1941 r.) Hannsa Eislera, a zespół perkusyjny wykonał cztery z sześciu części dzieła „Regenstücke" (1993 r.) Petera Ablingera, kompozytora, dla którego wszechobecne szumy są ważnym składnikiem muzyki. Drobne utwory chóralne intrygująco korespondowały z imitującymi krople deszczu delikatnymi brzmieniami wydobywanymi z nietypowych instrumentów (zgodnie z sugestią kompozytora zastosowano przedmioty, które nie dają tonalnej skali: w tym przypadku talerze, wazony). Ta szczególna muzyka wymagała od słuchaczy wyjątkowego skupienia i dobrze wprowadziła w klimat przestrzenno-muzycznego utworu „Rondeau" (2004 r.) Georga Friedricha Haasa, kompozytora, który wykorzystuje wiele technik współczesności (m.in. aleatoryzm, spektralizm i topofonię). Dzieło, odnoszące się do potocznego znaczenia słowa rondo, narzucało odpowiednie rozstawienie na sali koncertowej składu szkolnej orkiestry, żeby osiągnąć pożądany efekt muzyczny. I udało się. W kolektywnej grze dało się zauważyć dużą wrażliwość na niuanse artykulacyjne, kolorystyczne i brzmieniowe, a nawet talent improwizatorski (kompozytor w notacji muzycznej pozostawił wykonawcom pole do improwizacji). Przez ponad 20 minut muzyka dosłownie krążyła po sali koncertowej, starannie reżyserowana wprawną ręką dyrygenta stojącego pośród publiczności.

W drugą część koncertu umiejętnie wprowadził Krzysztof Kwiatkowski, publicysta, krytyk muzyczny znany ze współpracy z „Ruchem Muzycznym". Krótki rys historyczny współczesnej muzyki w Austrii K. Kwiatkowski zakończył opinią, że utwory klasyków współczesności wciąż zachwycają, prezentują się niezmiennie jako muzyka świeża i awangardowa. Dodał jednak, że współczesny pejzaż muzyki austriackiej nie jest bynajmniej skansenem dawnych mistrzów – „ojców współczesności", czego dowodzi oryginalna twórczość Georga Friedricha Haasa i Olgi Neuwirth – jednych z najważniejszych postaci na dzisiejszej scenie kompozytorskiej Austrii. Potwierdzeniem tej tezy był trafnie dobrany repertuar, stawiający przed wykonawcami skomplikowane problemy techniczne. Usłyszeliśmy w nim: Reisesonate Hannsa Eislera (napisaną w latach 1937/1938), 4 Stücke für Geige und Klavier op. 7 Antona Weberna (drobne kompozycje z 1910 r., odznaczające się pomysłowością, barwnością i zmienną ekspresją – niemal każda zawarta w nich nuta ma swoją odrębną artykulację i dynamikę) oraz skomponowane przez Olgę Neuwirth – Quasare/Pulsare (1995/1996 r.), dzieło inspirowane kosmosem, eksploatujące możliwości skrzypiec i preparowanego fortepianu. Wysoki poziom wykonawczy utworów zagwarantował duet Anna Kwiatkowska – skrzypce i Joanna Opalińska – fortepian, artystki specjalizujące się w wykonywaniu muzyki współczesnej.

Festiwal Kontrolowany w Radomiu może w tym roku był nieco skromniejszy w formie (w porównaniu z mnogością ubiegłorocznych atrakcji można mówić o pewnym niedosycie). Ważne jednak, że utrzymano wysoki poziom i zadbano o ciekawy, zróżnicowany program, zgodny z założeniami przyświecającymi organizatorom. Znakomicie podkreślono w nim rolę współczesnych kompozytorów, którzy żyją obok nas i tworzą muzykę naszych czasów.

Krzysztof Majerczyk

III Festiwal Kontrolowany – Austria, 27–28 lutego 2015 r., Zespół Szkół Muzycznych im. Oskara Kolberga w Radomiu.

Sto lat młodej parze...

Marta Wiktoria Trojanowska

Max Majer miał piękne atelier. Zachowała się fotografia wnętrza. Przestronne, jasne pomieszczenie z oszklonym sufitem i boczną ścianą. I przesuwane zasłony na całej ich powierzchni. Bogato i praktycznie. Rozwieszone malowane tło, na środku aparat na ozdobnym statywie. Dookoła wszelakiej maści stołki i stołeczki, stoły i stoliczki, niektóre przykryte białymi serwetkami. Wszystko wygląda tak, jakby niemiecki fotograf właśnie zrobił zdjęcie i wyszedł na chwilę, by pożegnać klientów. Musiała być ich dwójka, bo przed aparatem stoją dwa wiklinowe fotele i stolik przykryty ażurowym obrusem. Piękna, smutna fotografia wnętrza. Kiedy na nią patrzę, mam wrażenie, że i ja minęłam się właśnie w drzwiach z panem Maksem. Tylko że on już nie wróci...

To właśnie do tego atelier przyszli zrobić sobie ślubną fotografię. „Sto lat młodej parze..." – chciałoby się zaśpiewać, ale coś na to nie pozwala...

*

Szczerze mówiąc, nie od razu zorientowałam się, że to ślubne zdjęcie. Minęłabym je bez cienia uwagi, gdyby nie śnieżnobiały, ozdobny welon panny młodej, żywe kwiaty w wianku i bukiecie, i dumna postawa tych dwojga młodych ludzi, którą wydają się krzyczeć: „jesteśmy szczęśliwi, będziemy szczęśliwi, sto lat młodej parze!!!". Skoro więc ślub i biel welonu, to dlaczego wyglądają, jakby wracali z pogrzebu...

*

Max Majer miał piękną żonę. Na ślubnej fotografii oboje stoją poważni, trzymając się za ręce. Panna młoda zdjęła śnieżnobiałe rękawiczki i opuściła w dół bukiet kwiatów. Może po to, by pokazać bogato zdobioną suknię ślubną z bufiastymi rękawami, trenem przerzuconym do przodu i welonem do kolan. Śnieżnobiałą suknię – trzeba dodać.

Mieszkali w Gelsenkirchen – mieście położonym w zachodniej części Niemiec. Fotograficzne atelier męża mieściło się przy Neustrasse 25. Kolejna migawka ze starej fotografii: widzę surową niemiecką ulicę i patrzę na ogromny szyld z białymi literami, reklamujący zakład Majera. Pod ścianą stłoczyła się uliczna dzieciarnia. Mam wrażenie, że to mnie przyglądają się uważnie, choć przecież nie ja robię im właśnie zdjęcie, stojąc na środku ulicy z aparatem na zdobionym statywie... Na współczesną fotografię ulicy, robioną ponad 100 lat później, nie chcę już jednak patrzeć... I tak dowiedziałam się stanowczo zbyt wiele. Widzę drogę młodej pary do pana fotografa, widzę zbyt wyraźnie wnętrze atelier. Moja wyobraźnia nie może ruszyć z miejsca. Na ślubnym zdjęciu ten sam dywan, malowane tło. Wszystko się zgadza i nie pozostawia złudzeń. To tutaj. Dobry adres. Czasami nie warto szukać prawdy o starych fotografiach... Nie będzie już potem żadnej tajemnicy. No, może prawie żadnej...

*

A teraz, drodzy czytelnicy, zróbcie rachunek sumienia. I przyznajcie, że większość z Was zdziwiło to stare zdjęcie ślubne bardziej niż współczesne fotografie ślubne z całym asortymentem dziwactw. Bo chociaż zwykle współczesne kobiety (w naszym kręgu kulturowym oczywiście) wybierają biel sukien, są i takie, które idą do ślubu w czerni czy czerwieni. Można im tylko zazdrościć (albo serdecznie współczuć) niezrozumiałej beztroski. Takie czasy. Nic już dzisiaj nie dziwi, nawet na ślubnym kobiercu. Skoro jednak współczesny świat stać na wszystko, dlaczego szokuje (na pierwszy rzut oka) zdjęcie sprzed 100 lat?

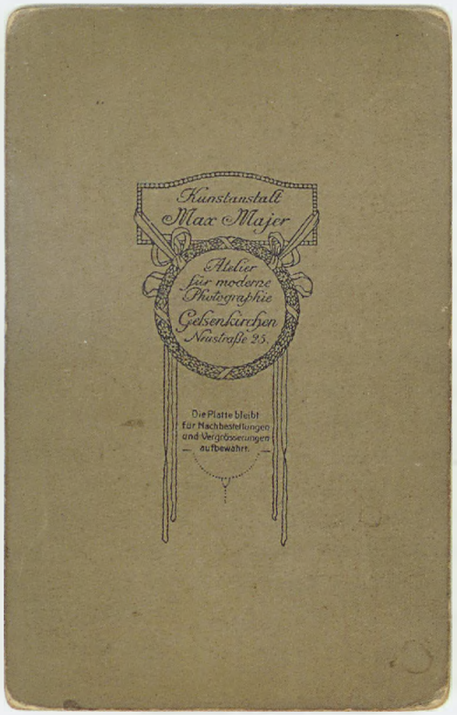

fot. archiwum autorki

Wyjaśnienie zagadki czarnej sukni ślubnej okazuje się bardzo przyziemne. „Gdy osoba wstępująca po raz drugi w związek małżeński nie jest już młodą, lepiej suknię białą zastąpić czarną, powłoczystą z materyi lub aksamitu, poważnego kroju" – czytam w książce *Gust! Czyli sztuka ubierania się gustownie. Poradnik dla kobiet* z 1890 r. A więc nasza panna młoda mogła być już wdową (ze zdjęcia trudno określić jej wiek), gdy powtórnie stawała przed ołtarzem. Ale niekoniecznie. To co dzisiaj okazuje się ekstrawagancją, dawniej mogło wynikać z warunków ekonomicznych. A dla naszej pary niedługo nadejdzie wojna. Jedna, potem druga (ta druga roztrzaska szyby atelier...). Uboższe panny młode zakładały w tych czasach do ślubu swoją najlepszą suknię. Niekoniecznie białą. Niekoniecznie też czarną. Skąd pewność, że nie oszukuje sama fotografia? Suknia panny ze zdjęcia mogła być przecież każdego innego ciemniejszego koloru... Ale monochromatyczne fotografie mają swoje prawa. I lubią z nami igrać... Do dziś można jeszcze znaleźć wśród starych ślubnych zdjęć podobne panny młode. W zbiorze *Pisane światłem. Antologia poezji inspirowanej fotografią* wiersz Anny Kamieńskiej zdobi ubrana na czarno panna młoda, która, jak wieszczy poetka: na przekór życiu uwierzyła sama/ W ślubne szczęście.

*

Max Majer miał piękne mieszkanie. Zachowało się kilka zdjęć wnętrza, ale ja patrzę na fotografię, która została wykonana prawdopodobnie z okna sąsiedniej kamienicy. Widać tu przede wszystkim wielkie szyby atelier. Prostopadle do nich usytuowany jest balkon. Niemiecki fotograf siedzi z matką i żoną Liną. Przed nimi okrągły stoliczek. Trwa popołudniowa herbatka na świeżym powietrzu. Matka podniosła właśnie filiżankę z herbatą i spojrzała na osobę, która robi zdjęcie. Sielsko

i anielsko. Mam im ochotę pomachać i życzyć miłego wieczoru, choć niebo jeszcze jasne.

O parze ze ślubnej fotografii, dla odmiany, nic nie wiem. Przyszli do Maksa Majera, pozowali do zdjęcia i wyszli, ściskając dłonie w geście pożegnania. Nie wiem, jak żyli wcześniej i czy mają mieszkanie z równie wielkim balkonem, na którym w letnie dni będą popijać popołudniową herbatkę... W przeciwieństwie do rodziny fotografa nie są szczególnie urodziwi, raczej poczciwi i prości. Ich dumna postawa też nie wynika chyba z tego, kim są, ale raczej z tego, kim stali się właśnie dla siebie... W końcu nowe życie przed nimi, tak jak przed wszystkimi, którzy właśnie ślubowali sobie miłość i wierność. Ale ta suknia... Nie wiem, dlaczego i czy na pewno jest czarna. Czy kobieta jest wdową, czy jest uboższa, czy kryzys... Nie muszę przecież czytać o historii mody. Nie muszę nic o niej wiedzieć. To zdjęcie mówi do mnie tu i teraz, z perspektywy moich czasów. Właściwie krzyczy, że choć dla tej pary miało się wszystko rozpocząć „od nowa", to przez tę suknię wyszło jakoś tak dziwne... od końca. Jej czerń tak smutno mówi o tym końcu. Oni go jeszcze nie widzą, cieszą się początkiem, nową drogą życia. Nie wiedzą, że 100 lat później inni zobaczą w ich ślubnej fotografii nie zapowiedź nowego, nie zapowiedź początku, ale raczej finału, który każdego z nas spotka...

PS Zdjęcie ślubne pochodzi z niezwykle interesującej kolekcji radomskiego fotografa śp. pana Jerzego Szepetowskiego, i było prezentowane podczas wystawy „Stare fotografie z kolekcji Jerzego Szepetowskiego" (Radom 2011). Serdecznie dziękuję jego synowi Wojciechowi Szepetowskiemu za udostępnienie mi tej kolekcji oraz zgodę na publikację niniejszej fotografii. O historii sukien ślubnych ciekawie pisze natomiast Katarzyna Janiszewska, autorka strony www.kajani.pl/suknie_slubne.html, z której korzystałam. Na stronie tej odnaleźć można reprodukcje innych fotografii z pannami młodymi w czerni.

Marta Wiktoria Trojanowska

Maria Kelles-Krauze na kartce z Radomia, czyli wartość dodana

Wojciech Szafrański

Całkiem niedawno w moich zbiorach znalazła się prezentowana tu kartka pocztowa, którą wcześniej zainteresowałem się z powodu nazwiska adresatki oraz daty, miejsca i okoliczności (związku z Powstaniem Warszawskim) jej nadania.

Podjąłem się roli niełatwej dla nieprofesjonalisty, badacza zawartości i treści tej korespondencji.

Już na wstępie pierwsza przeszkoda, gdyż nic do końca wiarygodnego nie znalazłem o ówczesnym radomskim nadawcy – Tadeuszu Janiszewskim(?) z ulicy Żelaznej 17, obecnie Waryńskiego. Z pewnością był on znajomym (czyżby też z powstańczej Warszawy?[1]) obu sióstr i męża Marii Ewy, a jeśli tak, to przecież w *Spisie Powstańczych Biogramów* znajdujemy nazwisko: Tadeusz Janiszewski, ps. „Zagłoba", ur. 1.01.1924 r. Oto jego dossier:
„Stopień – starszy strzelec

[1] Duża liczba warszawiaków wysiedlonych po powstaniu znalazła się w Radomiu. Samych lekarzy było 17 (Tochterman A., *O szpitalach i lekarzach radomskich, rękopis z lat 1947–1951*, „Radomski Rocznik Lekarski", t. 5, s. 167–168, Fundacja Oddychanie Radom 2000).

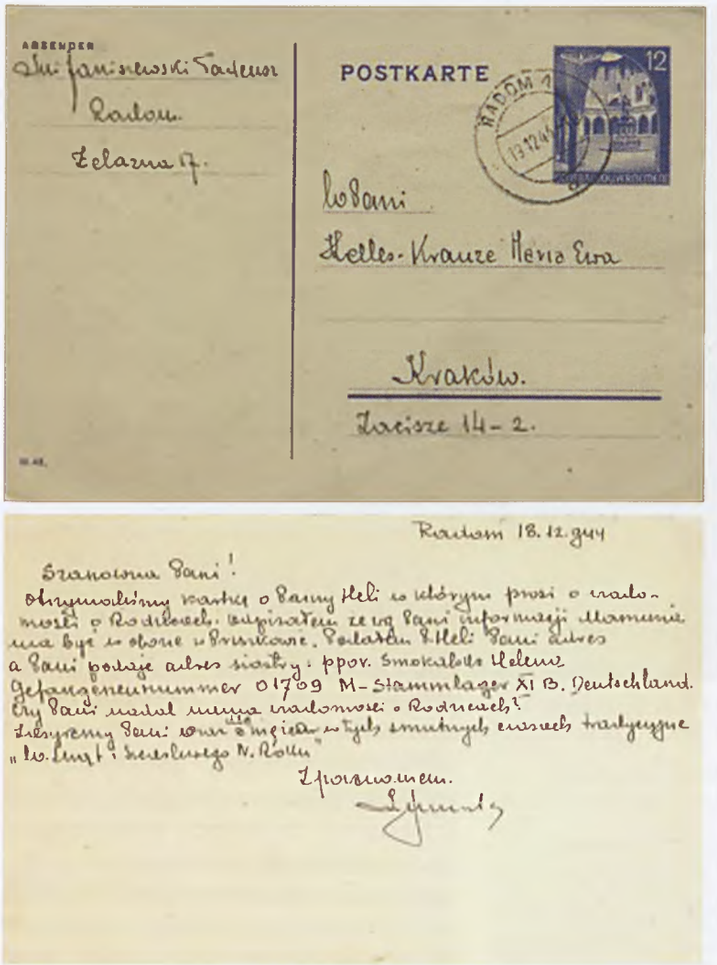

fot. archiwum autora

fot. archiwum autora

Ryc. 1. Całostka nadana z Radomia 18.12.1944 r. do Marii Ewy Kelles-Krauze w Krakowie z wiadomością o rodzinie po upadku Powstania Warszawskiego: siostrze ppor. Smokalskiej, w M-Stammlager XI B i matce w obozie w Pruszkowie

Pozornie łatwiej było z identyfikacją adresata. Nie mogła być nim „nasza", radomska Maria Kelles-Krauz z domu Nynkowska (1882–1969), żona Stanisława Kelles-Krauza, znanego radomskiego lekarza i działacza PPS, której drugim imieniem było Helena, a córkami Hanna i Zofia. A ponadto w okresie okupacji mieszkała w Radomiu.

Na podstawie faktów widocznych w treści korespondencji z dużym prawdopodobieństwem można przyjąć, że Maria Ewa wraz z mężem, podobnie jak jej siostra i matka, byli w czasie powstania mieszkańcami Warszawy i przeszli poprzez obóz w Pruszkowie, skąd – podobnie jak ponad 30 tys. innych obozowiczów – trafili do Generalnej Guberni, znajdując tymczasowe lokum w Krakowie. Po wojnie wrócili zapewne do zniszczonej stolicy, gdyż późniejszy i jedyny ślad prowadzi do internetowej dokumentacji warszawskich nekropolii.
Ryc. 2. Kościoły i Cmentarze Warszawskie
Informacja o Zmarłych:
Nazwisko i Imię: Smokalska-Kelles-Krauze Maria Ewa
Zmarła: 11.02.1987
Karta: 4309
Pozostałe dane dostępne na zamówienie.

Miejsce urodzenia – Warszawa
Imiona rodziców – Marian, Feliksa
Udział w konspiracji 1939–1944
IV Obwód „Grzymała" (Ochota) Warszawskiego Okręgu Armii Krajowej
Oddział Armia Krajowa – batalion „Kiliński", pluton wartowniczy
Szlak bojowy – Śródmieście Północ
Losy po powstaniu – niewola niemiecka, brak informacji o miejscach pobytu
Numer jeniecki – 105429.

Natomiast zasoby warszawskich cmentarzy (tabela poniżej) nie pozwoliły na pewną identyfikację męża Marii Ewy, a tylko dosyć mocną poszlakę, że teoretycznie mógł nim być Andrzej Konrad Eligard Kelles-Krauze (zmarły w 1956 r.), być może syn barona Bohdana Konrada Eligarda Kelles-Krauze (1885–1945). Informacja o tym ostatnim oraz ostatecznych wynikach poszukiwań męża Marii w dalszej części tekstu.

Nazwisko i imię	Nazwisko rodowe	Data śmierci
Kelles-Krauz Janina		15.06.1975
Kelles-Krauz Michał		04.10.1982
Kelles-Krauze Andrzej Konrad Eligard		13.02.1956
Kelles-Krauze Janina	Bocheńska	26.11.1988
Kelles-Krauze Kazimiera		19.01.2005
Kelles-Krauze Maria	Nynkowska	04.09.1969

Z kolei jedyne odnalezione dwa dokumenty o siostrze Marii Ewy, podporucznik Smokalskiej, znajdują się w zasobach Muzeum Powstania Warszawskiego. Pierwszy z nich zawiera tylko wzmiankę biograficzną:

„Helena Smokalska-Zapert „Helena Jankowska" (6.11.1913–21.3.1972). Przynależność: Oddział NSZ Okręg IA Warszawa-Miasto – Legia Oficerska, od 20.9.1944 Warszawski Korpus Armii Krajowej". W innym miejscu, w dziale „Powstańcze Biogramy", dodatkowe informacje: miejsce urodzenia: Petersburg, i uzupełnienie rubryki „przynależność organizacyjna": 28. Dywizja Piechoty AK im. Stefana Okrzei – 72. pułk piechoty. Tu wymieniono tylko nazwisko panieńskie; daty urodzenia i zgonu oraz nr obozowy są te same.

Drugim tamtejszym znaleziskiem jest obozowa fotografia (ryc. 3).

Mała dygresja. Obóz M-Stamlager XI B, na terenie dolnej Saksonii, niedaleko Bergen powstał z chwilą wybuchu II wojny światowej w części rozległego, zbudowanego w latach 1935–1938 poligonu wojsk pancernych armii niemieckiej i był następnie poszerzany oraz reorganizowany. Podobóz kobiecy utworzono w sierpniu 1944 r., tuż po wybuchu powstania w Warszawie, i najpierw trafiły doń kobiety z opanowanej przez Niemców na początku walk dzielnicy Wola (patrz też rzeź Woli). Były to zarówno ujawniające się jako uczestniczki walk, jak i niezidentyfikowane, wśród pozostałych warszawianek. Helena Smokalska, może będąc jeszcze panną, trafiła tam najpewniej dopiero po kapitulacji.

Podejrzewam, że Kelles-Krauz i Kelles-Krauze to dwie szlacheckie rodziny o wspólnych inflanckich[2] korzeniach. Wątpliwości zgłaszała Elżbieta Słodkowska[3], z którą spotkałem się kilkakrotnie w końcu lat 90. ub. wieku przed publikacją materiałów o jej pradziadku i zasłużonym lekarzu radomskim – Felicjanie Suligowskim (1847–1887)[4]. Mówiła mi wtedy o „innych" Kelles-Krauzach. Jednakże bardziej właściwe wydaje się skojarzenie obu nazwisk, gdyż łączy je – o czym za chwilę – tytuł barona uzyskany przez przodka w XVI stuleciu. Nazwisko radomianina: Stanisław Kelles-Krauz (1883–1965), po II wojnie poseł nadzwyczajny i minister pełnomocny w Danii (nie ambasador, jak często mylono, gdyż są to trzy różne stopnie dyplomatyczne), w prasie zagranicznej pisane było także jako Kelles-Krauze. Cóż dopiero mówić o możliwych przekształceniach i pomyłkach w ciągu ponad 400 lat[5].

[2] A może kurlandzkich – po poddaniu Inflant królowi polskiemu w roku 1561 księstwa Kurlandii i Semigalii zostały z Inflant wydzielone [W.S.].

[3] Elżbieta Słodkowska (1927–2007), córka Marii Walewskiej, spokrewniona z radomskimi rodzinami Suligowskich i Kuźnickich, zasłużony kustosz Biblioteki Narodowej. W archiwum BN znajduje się jej obszerny biogram sporządzony przez Stowarzyszenie Bibiotekarzy Polskich.

[4] Felicjan Suligowski (1847–1889) radomski lekarz z zacięciem naukowym i społecznikowskim. Jego biogram, spis publikacji i rodzina opisane są w czwartym tomie *Radomskiego Rocznika Lekarskiego*, na s. 107–109 i 119–132, wyd. Fundacja Oddychanie, Radom, 1999.

fot. archiwum autora

Ryc. 3. Muzeum Powstania Warszawskiego, fotografia [fotograf anonimowy – W.S.] z obozu jenieckiego w Fallingbostel XI B. 0.1714 ppor. Krystyna Śliwińska-Majewska „Krysia, Bl.", 0.1709 ppor. Helena Smokalska-Zapert „Helena Jankowska"

Na stronach WWW łatwo znajdujemy cenionego lubelskiego architekta powiatowego i malarza. Oto Bohdan Konrad Eligard Kelles-Krauze (1885–1945), urodzony w Rakowiczach, syn barona [! – W.S.] Michała Kelles-Krauze i Weroniki z Makarewiczów, miał trzech braci: starszych Jana i Michała oraz najmłodszego Adama. Zanim osiadł w Lublinie, kształcił się, podróżował, a także pracował w Kijowie, Włoszech, Petersburgu, Paryżu, Gościeradowie, Modliborzycach, Zamościu, Kamieńcu, Lwowie, Monachium i w Krakowie (dwa lata). Ożenił się w 1917 r. z Janiną Marią Bocheńską, którą poznał trzy lata wcześniej w Zakopanem, miał z nią córkę Janinę Beatę – urodzoną w 1918 r. [Beata Artemska – W.S.] i syna Andrzeja – urodzonego w 1923 r. Trudno posądzić go, aby w tych podróżach popełnił bigamię z nieletnią Marią Ewą. Młodszy brat Adam Konrad Eligard Krauze, urodzony w 4 stycznia 1899 r. w Kijowie, w roku 1923 poślubił Zofię Milewską herbu Ślepowron, a zmarł 6 grudnia 1987 r. w Lidzbarku Warmińskim w wieku 88 lat.

Natomiast zmarły w 1956 r. Andrzej Konrad Eligard Kelles-Krauze, być może tożsamy

[5] „Radomską" linię rodziny Kelles-Krauzów zbadała Grażyna Łuszkiewicz-Dzierżawska: *Rodzina Kelles-Krauzów – drogi do niepodległości*, [w]: Biuletyn Kwartalny Radomskiego Towarzystwa Naukowego, 1999, t. 34, z. 2, s. 29–49 [tam też bibliografia tematu – W.S.]. W tejże pracy Łuszkiewicz-Dzierżawskiej znajdujemy następujące informacje: 1) protoplastą rodu baronów Kelles-Krauzów był Eillhard (Elerd, Elert, Elihard) Krause, nazwisko rodu pisane także jako Cruse, Kruse, Kruuse; 2) w dalszych pokoleniach prawa do baronostwa posiadali Michał, Jerzy i Gotlieb; 3) syn Gotlieba, Michał Gotlieb, miał czterech synów, od Antoniego wywodzi się „radomska linia" Kelles-Krauzów; 4) autorka nie bada szczegółowo innych odgałęzień rodu.

z urodzonym w 1923 r. [a jednak w 1920 – p. następne informacje, przyp. W.S.] synem Bohdana, teoretycznie „miał czas i sposobność" na poślubienie Marii Ewy Smokalskiej. Istotnie, wyszukiwarka MyHeritage w części odpowiada pozytywnie, ale dość enigmatycznie: „Maria Krauze z d. Smokalska – nie żyje, mąż Andrzej Kelles-Krauze 1920–1956". I w wreszcie sukces! W innym miejscu tej samej wyszukiwarki znajdujemy: Andrzej Kelles-Krauze, urodzony 30 września 1920 r. w Krakowie, syn Bohdana Kelles-Krauze (1885–1945) i Janiny, siostra Beata Artemska (1918–), żona Maria Krauze, absolwent Wyższej Szkoły Handlu Morskiego w Gdyni, śmierć w 1956 r.: „zginął w tragicznym wypadku, jako młody jeszcze człowiek, ratując od śmierci robotnika w zakładach, w których pracował".

Zatem sugestia autora felietonu o wspólnych korzeniach rodzin Kelles-Krauz i Kelles-Krauze pozostaje hipotezą możliwą do przyjęcia.

Na koniec krótkie rozważania i dane statystyczne. Mimo parusetletniej obecności w Polsce nazwisko Kelles-Krauzów nie było spotykane coraz częściej, a wręcz przeciwnie – może po prostu rodziło się więcej kobiet, które z zamęściem zmieniały nazwisko rodowe, bądź pozostając w stanie wolnym, były bezpotomne. I tak, jeszcze w latach 90. XX w. ród Kelles-Krauz(e) reprezentowało 19 naszych obywateli mieszkających wzdłuż i nieco na wschód od Wisły, gdy 20 lat później znalazłem ich zaledwie 11. Zaskakująco, zupełnie unikalnie spotykani są Smokalscy: w cytowanej w przypisie pracy K. Rymuta jest ich zaledwie dwójka, oboje z Warszawy.

Tak to, zupełnie niespodzianie, prezentowany dziś historyczno-filatelistyczny walor, tylko z racji tej zadziwiającej zbieżności rzadkich nazwisk w jednej osobie, nabrał kolekcjonerskiej „wartości dodanej".

Wojciech Szafrański

KRONIKA
luty–marzec 2015

Iłża

24.02.2015. W galerii Domu Kultury odbyło się otwarcie wystawy malarstwa Dariusza Stelmacha z Radomia.

26.02.2015. Z okazji przypadającego 1 marca Dnia Żołnierzy Wyklętych w MGBP odbyła się prezentacja filmów dokumentalnych poświęconych podziemiu niepodległościowemu. Filmy prezentował dr Sebastian Piątkowski z radomskiej delegatury IPN, która była współorganizatorem spotkania.

Kozienice

7.02.2014. W Domu Kultury gościł poeta i krytyk literacki Andrzej Zaniewski. Poprowadził warsztaty literackie dla członków poetyckiej grupy Erato, działającej przy Domu Kultury, oraz dla osób niezrzeszonych.

13.03.2014. Wystawę malarstwa Ernesta Włodarskiego z Dęblina otwarto w Domu Kultury. Autor jest malarzem samoukiem, uprawia hiperrealizm.

27.03.2015. W Muzeum Regionalnym otwarta została wystawa rzeźby Sławka Matyjaszewskiego zatytułowana „Okna kontrolne".

Orońsko

21.03.2015. W Centrum Rzeźby Polskiej odbył się Wieczór Imieninowy dedykowany Józefowi Brandtowi. Podczas uroczystości wystąpił kwartet smyczkowy TheTonacja, Michał Grabowski wygłosił prelekcję „Konie w malarstwie Brandta", odbył się pokaz dawnych tańców polskich.

Radom

2.02.2015. Na uroczyste obchody Matki Bożej Gromnicznej zaprosił radomski skansen. Po mszy św., którą odprawił biskup Henryk Tomasik, odbyła się procesja z gromnicami, prezentacja zwyczajów ludowych związanych ze świętem oraz ogłoszenie wyników konkursu na szopkę bożonarodzeniową.

3.02.2015. W wyremontowanych pomieszczeniach w budynku kościoła pw. Opieki Najświętszej Marii Panny otwarto Muzeum Katedralne.

4.02.2015. Czytelnia Kawy gościła muzyka i wokalistę Krzysztofa Zalewskiego.

5.02.2015. Wystawę grafiki Magdaleny Kacperskiej z Łodzi otwarto w galerii Rogatka UTH.

5.02.2015. W Miejskiej Bibliotece Publicznej otwarta została wystawa grafiki Michała Kurkowskiego zatytułowana „Małe ryciny".

5.02.2015. Wystawę malarstwa Darii i Malwiny Mańczyńskich otwarto w Domu Kultury „Idalin". Obydwie są absolwentkami Zespołu Sztuk Plastycznych w Radomiu oraz Wydziału Sztuki UTH.

6.02.2015. W Miejskiej Bibliotece Publicznej odbył się wieczór pamięci poświęcony prof. Feliksowi Wojtkunowi w 10. rocznicę śmierci. Prof. Wojtkun był dziekanem Wydziału Mechanicznego Politechniki Radomskiej, współtwórcą radomskiego KIK-u, pierwszym nie-PZPR-owskim wojewodą radomskim.

6.02.2015. W Radomskim Klubie Środowisk Twórczych i Galerii „Łaźnia" przy ul. Żeromskiego otwarto poplenerową wystawę Ogólnopolskiego Pleneru Malarskiego „Ożarów". Wystawa nosi tytuł „Przydrożne kapliczki".

6.02.2015. W sali koncertowej ROK jubileusz 20-lecia działalności obchodził Big-Band Mundana. W uroczystym koncercie wzięli udział także goście: wokalistka Iwona Swarek, akordeoniści Michał Kraska i Artur Miedziński, gitarzysta Michał Trzpioła. Zespołowi życzymy kolejnych lat pracy pełnych sukcesów.

6.02.2015. Wystawę prac Dariusza Kowala „Rysunek, malarstwo i grafika" otwarto w OKiS „Resursa Obywatelska". Artysta mieszka i pracuje w Iłży.

13.02.2015. Drugą międzynarodową wystawę „Mała Forma Graficzna 13x18. Dialog warsztatu z cyfrą" otwarto w KŚTiG „Łaźnia" przy ul. Traugutta.

14.02.2015. Radomska Orkiestra Kameralna zaprosiła na koncert walentynkowy, w programie którego była muzyka filmowa Wojciecha Kilara. Z orkiestrą wystąpiła znakomita skrzypaczka Marta Magdalena Lelek.

14.02.2015. W Teatrze Powszechnym zaprezentowano kolejna premierę. Była to „Szklana menażeria" Tennessee Williamsa w reżyserii Katarzyny Deszcz.

14.02.2015. Stare Dobre Małżeństwo zagrało koncert charytatywny organizowany przez Fundację Rycerzy Kolumba. Impreza odbyła się w Zespole Szkół Muzycznych.

15.02.2015. W Czytelni Kawy koncertował awangardowy zespół jazzowy Baaba.

22.02.2015. W „Łaźni" przy ul. Żeromskiego koncertowała Anna Gojarska i Bomba Kaloryczna.

26.02.2015. „Wielki wybuch sztuki" – pod takim hasłem studenci Wydziału Sztuki UTH zorganizowali prezentację swoich prac w gmachu uczelni. Impreza zgromadziła tłum zainteresowanych.

27.02.2015. W Mazowieckim Centrum Sztuki Współczesnej zainaugurowano projekt artystyczny „Pracownia ul. Lea 44, Kraków".

28.02.2015. Rozpoczął się tydzień patrona miasta, czyli popularne wśród radomian Kaziki. W programie tegorocznej imprezy były gra miejska, wielki test wiedzy o Radomiu, wręczenie Nagrody św. Kazimierza, bieg Kazików. Laureatką nagrody została Katarzyna Posiadała. Jury doceniło jej album o Jacku i Rafale Malczewskich wydany na początku bieżącego roku.

28.02.2015. W Zespole Szkół Muzycznych im. Oskara Kolberga odbyła się trzecia edycja Festiwalu Kontrolowanego AUSTRIA.

1.03.2015. W sali koncertowej im. Krzysztofa Pendereckiego w Zespole Szkół Muzycznych z recitalem chopinowskim wystąpił radomianin, pianista Marcin Wieczorek.

4.03.2015. W sali koncertowej im. Krzysztofa Pendereckiego w Zespole Szkół Muzycznych zagrał duet Olivia Jacobson – skrzypce i Michał Drewnowski – fortepian.

6.03.2015. W Radomskim Klubie Środowisk Twórczych i Galerii „Łaźnia" przy ul. Żeromskiego otwarta została wystawa z okazji jubileuszu 35-lecia pracy twórczej Krystyny Joanny Szymańskiej, na której pokazano fotografie, malarstwo i rysunki.

6.03.2015. „W szafie" – wystawę pod takim tytułem otwarto w Miejskiej Bibliotece Publicznej.

Była to prezentacja grafiki radomianki Katarzyny Golińskiej-Pietrzyk.

6.03.2015. W Mazowieckim Centrum Sztuki Współczesnej „Elektrownia" odbył się koncert poetycko-muzyczny. Swoje wiersze czytał Ryszard Krynicki, a tło do jego poezji stanowiła muzyka w wykonaniu zespołu Rdzeń. Koncert był zatytułowany „Wiersze, do których jestem najbardziej przywiązany".

7.03.2015. Radomska Orkiestra Kameralna zaprosiła na koncert z okazji Dnia Kobiet. Koncert był zatytułowany „Muzyczny bukiet". Orkiestrę poprowadził José Luis Castillo, jako soliści wystąpili Martyna Zakrzewska – fortepian i Kamil Żarnecki – trąbka. W programie były utwory Joaquina Turiny, Dymitra Szostakowicza i Arthura Honeggera.

8.03.2015. W sali Radomskiej Orkiestry Kameralnej wystąpili artyści Opery Śląskiej w Bytomiu z inscenizacją baletu „Romeo i Julia" z choreografią i w reżyserii Henryka Konwińskiego.

12.03.2015. W galerii „Łaźnia" przy ul. Traugutta odbył się wernisaż wystawy fotografii: „John Vachon: Trzy razy Polska/Three Times in Poland", której autorami byli Tomasz Markiewicz i Sławomir Rybałtowski.

12–13.03.2015. Radomskie Stowarzyszenie Romów „Romano Waśt" zorganizowało konferencję „Dokąd zmierzamy? – Romowie w XXI wieku". Konferencja odbyła się w hotelu Aviator. Towarzyszył jej koncert Teresy Mirgi.

13.03.2015. W sali koncertowej Radomskiej Orkiestry Kameralnej wystąpili artyści Opery Lwowskiej. Podczas koncertu zatytułowanego „Vivat Operetta" zaprezentowali światowe szlagiery operetkowe. Koncert odbył się w ramach integracji Ukrainy z Unią Europejską.

20.03.2015. W „Amfiteatrze" na scenie Obozisko koncertował znakomity muzyk młodego pokolenia Janek Samołyk z zespołem. Janek Samołyk to wrocławski gitarzysta, wokalista oraz autor piosenek.

27.03.2015. Radomski Klub Środowisk Twórczych i Galeria „Łaźnia" przy ul. Żeromskiego zaprosił na otwarcie wystawy malarstwa Andrzeja Białeckiego.

27.03.2015. W galerii kina Helios otwarto wystawę, na której swoje fotografie zaprezentowało 20 członków Fotoklubu Rzeczypospolitej Polskiej Region Radomski. Wystawa była zatytułowana „Zbliżenia".

27.03.2015. Z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru Teatr Powszechny im. Jana Kochanowskiego przygotował premierę słynnego musicalu „Cabaret" w reżyserii Waldemara Zawodzińskiego. Znakomite kreacje stworzyli Izabela Brejtkop i Łukasz Mazurek.

29.03.2015. W Muzeum Wsi Radomskiej odbyły się tradycyjne uroczystości Niedzieli Palmowej.

29.03.2015. Ośmiu śpiewaków wystąpiło podczas gali operowej w sali koncertowej w Zespole Szkół Muzycznych. Koncert odbył się w ramach Wielkanocnego Festiwalu im. Ludwiga van Beethovena. Solistom towarzyszyła Radomska Orkiestra Kameralna pod dyrekcją Macieja Żółtowskiego.

Wsola

8.02.2015. Muzeum Witolda Gombrowicza zaprosiło na spotkanie z Anną Seniuk. Aktorka zaprezentowała poemat Stanisława Balińskiego „Wieczór w Teatrze Wielkim". Na altówce towarzyszyła jej Magdalena Małecka.

1.03.2015. W Muzeum Gombrowicza wystąpił założyciel i lider zespołu Wały Jagiellońskie – Grzegorz Bukała.

29.03.2015. Gościem u Gombrowicza była wokalistka Kasia Stępniak-Wilk. Dała koncert piosenek autorskich oraz napisanych do tekstów Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego.

Zakrzew

13.03.2015. W sali widowiskowej Gminnej Biblioteki Publicznej otwarta została wystawa fotografii Barbary Polakowskiej. Wernisażowi towarzyszył koncert Beaty Skrzek z zespołem Project Band.

Zwoleń

7.02.2015. „Bajkolandia" – to tytuł wystawy fotografii radomianki Iwony Nabzdyk otwartej w Domu Kultury. Na prezentowanych fotografiach autorka uwieczniła kryjący się pod naszymi stopami mikroskopijny świat żyjątek i roślinek.

Angielski metodą siła metody
Helen Doron English

www.helendoron.pl/radom

Jerzy Kutkowski – Subiektywny obiektyw

Odlewnie Radomskie, Glinice 12.02.2015